Dziś w numerze: ● Czarne kłopoty białej Anglii ● Lekarz na oceanie ● Skrzydełko kurczęcia ● Spotkanie z Buriatami ● Recenzje ● Felietony

odgłosu

Nr 41 (155)
15. X. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X

Zbrodnie Wehrmachtu na Ziemi Łódzkiej

Zagadnienie zbrodni Wehrmachtu na ziemiach polskich, to problem niezwykle doniosły zarówno pod względem politycznym jak i społecznym. Konieczne jest dokładne opracowanie historyczne tego zagadnienia. Co w tym zakresie zostało już zrobione jeśli chodzi o teren Ziemi Łódzkiej? Jak przedstawiają się konkretne perspektywy dalszych badań? Czy towarzyszą im plany edytorskie? Aby uzyskać odpowiedzi na te pytania zorganizowaliśmy dyskusję, w której udział wzięli; przewodniczący Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Łodzi — Jan Przybylski, pracownicy naukowi Instytutu Historycznego Uniwersytetu Łódzkiego: prof. dr Józef Dutkiewicz i doc. dr Stefan Banasiak, dawny podporucznik w służbie Międzynarodowej Komisji Tropienia Zbrodni Hitlerowskich — doc. dr Bolesław W. Lewicki oraz z ramienia „Odgłosów" — redaktor naczelny Wacław Biliński.

PRZEDSTAWIAMY FRAGMENTY DYSKUSJI:

WACŁAW BILIŃSKI: Nasz dług wobec Września nie został jeszcze spłacony nawet w małej części. Nie wiemy dotąd, ile było wśród ofiar kampanii wrześniowej ludności cywilnej, a ilu żołnierzy. Nie jesteśmy też dokładnie zorientowani, ile ludności cywilnej zginęło w poszczególnych rejonach Polski. Nie posiadamy również rozeznania, jak straty tej ludności cywilnej układają się pod względem chronologicznym w kolejnych okresach okupacji. A przecież opracowanie tego problemu pozwoliłoby określić, kto ponosi odpowiedzialność za popełnione morderstwa. Jak najrychlej trzeba więc zebrać pełną dokumentację wszystkich zbrodni, dokumentację, która posiadałaby moc prawną i posłużyła wyczerpującym opracowaniom naukowym. Pozwoliłoby to na rozwianie anonimowości zarówno morderców jak i pomordowanych. Jesteśmy do tego zobowiązani wobec historii.

Cała Ziemia Łódzka pokryta jest grobami ludności cywilnej, w znacznej mierze chłopów, pomordowanych przez Wehrmacht. Wszędzie napotykamy takie zbiorowe mogiły. Ratujmy je od zapomnienia. Jeśli nie zrobimy tego teraz, nikt w przyszłości nie będzie już w stanie tego uczynić. Bo świadkowie, którzy byli wówczas w wieku dojrzałym, zdolni ogarniać całą sprawę, są już na wsi pokoleniem odchodzącym. A bez ich pomocy wydarzenia tamtych czasów z konieczności skazane są na zapomnienie. Trzeba więc chyba wykorzystać ostatnią już porę dotarcia poprzez świadków do tych grobów i spisania relacji o tym, co zaszło w owych miejscach w pamiętnych pierwszych dniach września 1939 roku.

To nie tylko sprawa naszego długu wobec Września. Opracowanie poruszonego problemu pomogłoby w demaskowaniu zachodnioniemieckich prób rehabilitacji Wehrmachtu. Jest to tym ważniejsze, że w zależności od szerokości geograficznej, Wehrmacht różnie postępował wobec ludności podbitego obszaru. Inną taktykę stosował u nas, a inną na Zachodzie. Czechy mają swoje Lidice. Tylko na terenie naszego województwa takich miejscowości znalazłoby się kilkanaście (sam znam je ze swoich reporterskich wędrówek), a może nawet kilkadziesiąt.

Niedawno znalazłem w piśmie „Observer" artykuł zatytułowany „Pierwsza zbrodnia Wehrmachtu". Tytuł wielce mnie zafrapował. Zabrałem się do czytania. I stwierdziłem rzecz paradoksalną: Brytyjczycy za pierwszą zbrodnię Wehrmachtu uważają rozstrzelanie kilku Anglików — jeńców pod Dunkierką!

Potrzebne nam jest dokumentalne i monumentalne opracowanie zbrodni Wehrmachtu na ziemiach polskich. Fragmentaryczne publikacje na łamach periodyków nie wystarcza. W jakim stadium znajduje się zbieranie materiałów do opracowania tego problemu? Czy można znaleźć jakieś ważniejsze publikacje z tego zakresu?

JAN PRZYBYLSKI: W 1945 roku rozpisana została przez Ministerstwo Sprawiedliwości i Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce ankieta do wszystkich sądów grodzkich wzywająca przedstawicieli każdej gromady do składania relacji, co stało się w okresie okupacji na danym terenie. Materiały te mogą stanowić jeden z punktów wyjściowych do opracowania problemu zbrodni Wehrmachtu na ziemiach polskich. Liczne dokumenty, które mogłyby być przydatne w tej sprawie rozproszone są po archiwach. Trzeba je spenetrować i zebrać. Nie jest to takie proste — wymaga wiele pracy i czasu. Tym bardziej, że rozproszenie jest naprawdę duże. Tak np. materiały interesujące okręg łódzki znajdujemy w archiwum katowickim, a nasze łódzkie archiwa dysponują z kolei dokumentami przydatnymi dla Poznania, Warszawy czy innych regionów. Konieczna jest więc wymiana.

Prace naszej Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich nie wyszły jeszcze ze stadium wstępnego. Dopiero niedawno założyliśmy dwie kartoteki: jedną — nazwisk (osoby, które na terenie województwa mogą wchodzić w grę jako prowadzące podejrzaną działalność w czasie wojny) i drugą — zdarzeń. Obecnie mamy ponad 4.000 takich podejrzanych nazwisk. Zdarzeń — zgromadziliśmy dotąd 400.

Jeśli chodzi o zbrodnie Wehrmachtu na terenie Ziemi Łódzkiej, to nie możemy powiedzieć nic ponad to, co mówi w swojej publikacji dr Szymon Datner.

WACŁAW BILIŃSKI: Na jednym z wiejskich cmentarzyków w Niewieszu pod Poddębicami natknąłem się na zbiorową mogiłę 314 osób zamordowanych bodajże 6 września, niewątpliwie przez Wehrmacht. Zginęli wszyscy ci, którzy wpadli w ręce Niemców, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Wśród zamordowanych byli także — co ciekawe — koloniści niemieccy. Świadkowie tego wydarzenia żyją do dziś i gotowi są złożyć zeznania. Trzeba się jednak śpieszyć. Bo kiedy w dwa lata później przemierzałem ten sam szlak, stwierdziłem,

Dalszy ciąg na str. 3

ze ŚWIATA

17-milionowe państwo wschodnioniemieckie liczy 18 lat. Mimo swej młodości Niemiecka Republika Demokratyczna — jak stwierdził to w marcu br. Władysław Gomułka — „stała się państwem niezbędnie potrzebnym w Europie". Jej znaczenie polega przede wszystkim na tym, że jest to pierwsze w dziejach narodu niemieckiego państwo pokojowe i demokratyczne, spełniające rolę czynnika stabilizacji na naszym kontynencie. Jego polityka, uznanie granic na Odrze i Nysie, liczne inicjatywy pokojowe, zmierzające do zapewnienia bezpieczeństwa w Europie, aktywny udział w Układzie Warszawskim, propozycje nawiązania współdziałania z drugim państwem niemieckim — NRF — wpływają zasadniczo na sytuację polityczną europejskiego kontynentu.

I właśnie dlatego druga część Niemiec, państwo Adenauera, Erharda i Kiesingera, stawiające i realizujące biegunowo odmienne cele, odrzuca raz po raz możliwość normalizacji stosunków z NRD.

Odpowiedź Kiesingera na drugi już z kolei list premiera Stopha potwierdza to w całej rozciągłości. Bonn nadal uważa siebie za wyłącznego reprezentanta Niemiec.

Uważna lektura oficjalnych dokumentów zachodnioniemieckich, częstotliwość, z jaką Bonn o tym „przypomina" — dają powód do stwierdzenia, że na owej wyłączności zasadza się cała „nowa polityka wschodnia".

W wytycznych SPD dla rządu „wielkiej koalicji" powiedziano o tym zresztą otwarcie.

„...Bundestag i rząd NRF są jedynymi, uprawnionymi przez wolne wybory, rzecznikami narodu niemieckiego".

Myśl tę kilkakrotnie podejmował Kiesinger:

„Również obecny rząd federalny uważa się za jedyny rząd niemiecki... uprawniony do przemawiania w imieniu całego narodu niemieckiego".

„...Nie dążymy bynajmniej do sprawowania kurateli nad ludźmi z drugiej części Niemiec... rząd NRF ma jednak obowiązek mówić również w ich imieniu...".

Albo też:

„Uzgodniliśmy w porozumieniach koalicyjnych, że kontakty między władzami Republiki Federalnej i władzami drugiej części Niemiec nie oznaczają uznania. W każdym poszczególnym przypadku należy tak postępować, aby nie powstało wrażenie, że odstępujemy od prawa wyłącznej reprezentacji".

Przy takich założeniach trudno, rzecz oczywista, o skuteczny dialog i otwarcie płaszczyzny współdziałania. Mimo to rząd NRD nie ustaje w wysiłkach, aby doprowadzić do normalizacji stosunków.

Jak już pisałem w poprzednim tygodniu, premier Stoph ponownie pozostawił otwartą furtkę do dalszych kontaktów. Jest to jeszcze jeden przejaw dobrej woli NRD, państwa, które 7. X. obchodziło swe 18-lecie i które stało się już częścią składową europejskiej struktury, czy to się podoba Bonn, czy też nie.

* * *

Problem wietnamski, najwięcej zaprzątający uwagi politykom jako aktualnie najniebezpieczniejszy, raz jeszcze dał o sobie znać w ostrej formie. Tym razem na dorocznej konferencji Labour Party w Scarborough.

Wbrew apelom brytyjskiego ministra spraw zagranicznych — większością głosów konferencja przyjęła rezolucję, domagającą się odcięcia W. Brytanii od wietnamskiej polityki Stanów Zjednoczonych. Wprawdzie, jak zapowiadają oficjalne koła, nie wpłynie to na zmianę polityki Wilsona, jednak może mieć poważne następstwa w przyszłości.

Przebieg głosowania nad poszczególnymi rezolucjami wykazał, że premier brytyjski ma poważną opozycję we własnej partii. Znaczny odłam członków występuje bowiem przeciwko założeniom obecnego rządu zarówno na płaszczyźnie politycznej, jak i ekonomicznej.

Cała ta konferencja, której głównym tematem była sytuacja gospodarcza W. Brytanii i jej zabiegi o przystąpienie do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, ujawniła postępujący proces upadku ekonomiki brytyjskiej i osłabianie międzynarodowej pozycji. Źródeł tego trzeba szukać w uzależnieniu się W. Brytanii od Stanów Zjednoczonych.

* * *

Sytuacja wewnętrzna w Stanach Zjednoczonych staje się coraz ciekawsza. Z jednej strony jest już prawie pewne, że Johnson zamierza zabiegać o fotel prezydencki w przyszłorocznych wyborach na fali „osiągnięć militarnych w Wietnamie", z drugiej — że ta polityka w galopujący sposób traci popularność.

Miernikiem tego mogą być nowe sondaże, przeprowadzone przez ośrodki badania opinii publicznej. Ogłoszone przed kilku dniami wyniki zastanawiają całą prasę amerykańską. Okazuje się bowiem, że Robert Kennedy uzyskał więcej głosów od Johnsona, natomiast duet republikański: Rockefeller — Reagan — przewagę nad parą: Johnson—Humphrey. Inaczej mówiąc — według ankiet — gdyby dziś odbywały się wybory prezydenckie, więcej szans na desygnowanie w partii demokratycznej niż Johnson miałby Kennedy, gdyby zaś obecny prezydent i wiceprezydent ponownie ubiegali się o wybór — przegraliby na rzecz republikanów.

Johnson — pisze prasa zachodnia — może wkrótce stać się rekordzistą: pobić szczyt niepopularności prezydenta w ostatnim stuleciu. Rzeczywiście ma takie szanse — jeśli nadal z uporem prowadzić będzie wietnamską interwencję.

W. SŁAWSKI

Kronika TYGODNIA

— Muszę przyznać, Dayan, że jest pan pojętnym uczniem.
(Berliner Zeitung)

■ Amerykański admirał Moorer w wypowiedziach przed senacką komisją wojskową stwierdził, że sprawa bombardowania portu Hajfong była często dyskutowana w kołach kierowniczych. „Mamy od jakiegoś czasu — powiedział admirał — plany zaminowania portu".

■ **Sekretarz Generalny ONZ U Thant oznajmił, że zaniechał swych prywatnych prób dyplomatycznych na rzecz pokoju w Wietnamie, ponieważ stawiany przez niego warunek zaprzestania przez USA bombardowań Wietnamu północnego pozostał bez odpowiedzi.**

■ W wywiadzie telewizyjnym minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii Brown odpowiadał na krytyczne uwagi wysunięte w prasie pod jego adresem. Stwierdził on m. in.: „Moim zdaniem, brytyjska opinia publiczna musi podjąć decyzję, czy zaakceptuje mnie takim jakim jestem, albowiem nie ma najmniejszych szans, bym się zmienił". Odpowiadając na artykuł zamieszczony w „Daily Mirror" stwierdzający, że kłopoty z Brownem polegają „nie na tym, że używa zbyt wiele alkoholu, ale że w ogóle pije alkohol", minister spraw zagranicznych oświadczył: „Nikt nie mógłby powiedzieć, że Sir Winston Churchill nie pił alkoholu. Istniało jednak nie pisane prawo, że nie mówiło się o tym. Nie ukrywam, że piję alkohol. Ciężko pracuje przez wiele godzin dziennie. Nie robię jednak innych rzeczy, które mogą się nie podobać ludziom".

■ **Donosząc z Moskwy o zakończeniu wizyty króla Husajna w Związku Radzieckim, Reuter pisze, że król Jordanii „dokonał raptownego zwrotu w dotąd chłodnych stosunkach między Związkiem Radzieckim a Królestwem haszymickim".**

■ W uwagach na temat sytuacji w rolnictwie chińskim agencja „Nowe Chiny" podkreśla, że „w niektórych rejonach wróg klasowy usiłował inspirować chłopów do porzucenia pracy i że napływ mas chłopskich do miast stał się problemem na skalę ogólnokrajową. Niektórzy starsi chłopi żądają również zwrotu swych ziem i powołują się na kontrakty zawarte przed reformą rolną. Duża liczba chłopów odmawia również oddawania obowiązkowych kontyngentów państwu, w związku z czym zaistniała potrzeba skierowania wojska na wieś w celu zweryfikowania cen sprzedaży produktów rolnych".

■ Znana dziennikarka — Anna Luiza Strong — opublikowała artykuł, w którym stwierdza, że „chociaż pozbawieni wszelkiej władzy Liu Szao-tsi, Teng Hsiao-ping i Tao Czu otrzymują wciąż swoje uposażenie i prowadzą normalne życie". A. L. Strong pisze, że „maleńka grupka prokapitalistyczna, która została zdemaskowana oczekuje wciąż na definitywne rozwiązanie jej sytuacji".

■ **Agencja CTK podaje, że pisarze Iwan Klima, Antonina Liehma i Ludwika Vaculika usunięci zostali z partii. Wspólną cechą działalności tych pisarzy była odmowa podporządkowania się decyzjom partii. „Pisarze ci w znacznej mierze przyczynili się do stworzenia na zjeździe pisarzy niezdrowej atmosfery, która była na rękę wcześniej organizowanym próbom wykorzystania politycznej platformy zjazdu do wystąpień przeciwko polityce partii i państwa".**

■ Sondaże opinii publicznej wykazują ostatnio, że republikański tandem złożony z liberała Nelsona Rockefellera i konserwatysty Ronalda Reagana łatwo odniósłby zwycięstwo w wyborach prezydenckich nad Johnsonem i Humphreyem, gdyby wybory odbywały się w chwili obecnej. Republikanie zyskaliby około **57 proc.** głosów podczas gdy Johnson 43 proc. Mówi się, że Johnson ma szansę pobicia wszelkich rekordów niepopularności ostatniego stulecia.

■ Według publikacji ukazujących się w prasie bułgarskiej Związek Radziecki zapewnia obecnie Bułgarii dostawy 30 proc. potrzebnej jej surówki żelaza i rud, 50 proc. maszyn i urządzeń, 60 proc. bawełny i celulozy, 70 proc. aluminium, 80 proc. ropy naftowej i 100 proc. węgla.

■ **W ankiecie przeprowadzonej wśród studentów w Detroit, prezydent Johnson zajął pierwsze miejsce jako „człowiek, którego najmniej pragnąłbym widzieć w Białym Domu". Johnson zdobył 31,9 proc. głosów, a drugie miejsce zajął były gubernator z Alabamy, zwolennik segregacji George Wallace, który zdobył 24,3 proc. głosów.**

■ Radziecki tygodnik „Za Rubieżom" zamieścił artykuł wieloletniego korespondenta Agencji TASS w Pekinie Michała Jakowlewa. Redakcja pisma poprzedziła relację Jakowlewa następującą notą: „Ostatnie wiadomości z Chin świadczą, że grupa Mao Tse-tunga usiłuje zatopić we krwi wszelkie wystąpienia przeciwko tzw. rewolucji kulturalnej. Na ulicach miast chińskich toczą się istne bitwy między maoistami a ich przeciwnikami. W sukurs hunwejbinom i „rewolucyjnym buntownikom" kierownictwo pekińskie posyła armię".

■ Po raz pierwszy w skład kurii rzymskiej weszły cztery mniszki różnej narodowości (Francuzka, Hiszpanka i dwie Amerykanki). Nominacji dokonał osobiście papież.

■ **Tygodnik „New Statesman" zamieszcza artykuł, który określa jako „portret Związku Radzieckiego w jubileuszowym roku 1967". Autor artykułu zwraca m. in. uwagę na dwie sprawy, które uważa za posiadające wyjątkowe znaczenie. Po pierwsze — absolutnie bezpłatną i bardzo skuteczną służbę zdrowia. Śmiertelność niemowląt jest w Związku Radzieckim jedna z najniższych na świecie, a mieszkańcy Rosji żyją teraz tak długo, że wiele milionów emerytów stanowi poważny problem finansowy dla państwa; po drugie — oświata... Rosja sprawia dziś wrażenie najlepiej wykształconego, najlepiej oczytanego narodu na świecie, o autentycznym głodzie wiedzy i kultury.**

■ Scinteia i inne dzienniki rumuńskie zamieściły obszerne sprawozdania z uroczystego zgromadzenia odbytego w Bukareszcie 29 września w związku z XVIII rocznicą proklamacji Chińskiej Republiki Ludowej. Z informacji o tej uroczystości wynika, iż udział w niej brali przedstawiciele najwyższych rumuńskich władz partyjnych i państwowych.

■ Wychodzący w Belgradzie tygodnik „Ekonomska Politika" pisze, że „Radykalna rewolucyjna orientacja Kuby jest szkodliwa dla sił postępu i pomaga Waszyngtonowi w mobilizowaniu sojuszników do realizacji jego planów w Ameryce Łacińskiej". Pismo ilustruje to na przykładzie rozłamu w ruchach rewolucyjnych i partyzanckich w poszczególnych krajach Ameryki Łacińskiej.

■ Według Gallupa senator Kennedy uzyskał w ostatnio przeprowadzonej ankiecie o 12 proc. głosów więcej, aniżeli Johnson, a wypowiedzieli się za nim nie tylko demokraci, ale także republikanie i niezależni.

■ Według informacji napływających z Bangkoku, w dżunglach Syjamu nastąpiło ożywienie ruchu partyzanckiego. Władze syjamskie przystąpiły ostatnio do szeroko zakrojonych operacji wojskowych na terenach objętych działalnością partyzancką.

■ **Miesięcznik „Woprosy Istorii KPSS" zamieścił recenzję pt. „W ideowej niewoli u fałszerzy historii" z książki Aleksandra Niekricza pt. „1941 22 czerwca", która w 1965 roku wyszła w Moskwie nakładem wydawnictwa „Nauka". Autorzy recenzji, G. Deborin i B. Tielpuchowski poddają ostrej krytyce stanowisko Niekricza zarzucając mu, że w książce swej daje fałszywy obraz okresu poprzedzającego Wielką Wojnę Narodową oraz całokształtu radzieckiej polityki zagranicznej. „Niekricz — konkludują autorzy recenzji — znalazł się w ideowej niewoli u burżuazyjnych fałszerzy historii, zdradził naukowe zasady historiografii marksistowskiej, a więc również prawdę historyczną".**

Londyński „Morning Star" podaje, że wielu policjantów w USA należy do faszystowskiej organizacji.
(„John Birch Society")

LISTY do REDAKCJI

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Toczy się interesująca dyskusja na łamach „Odgłosów" o potrzebie istnienia kabaretu literackiego w Łodzi. W artykule „Możliwe czy niemożliwe?" — wszystkie za i przeciw mają swoje uzasadnienie. Tylko czy należy rozgrzeszać kasę gastronomii — jak to proponuje p. Jerzy Panasewicz. Wątpliwe czy dyrekcja ŁZG zechce finansować, skoro nie będzie czerpać zysku. Nie znam się na tych sprawach, ale czy nie byłoby rzeczą słuszną, aby mecenat objął właśnie Wydział Kultury. Ponieważ sprawa dojrzała do realizacji, to na pewno ojcowie miasta znajdą na tę niewątpliwie interesującą formę rozrywki odpowiednie kredyty. Popieramy propozycję p. Eugeniusza Kamińskiego, aby siedzibą kabaretu była Mała Sala. To naprawdę nie może odbywać się w lokalu gastronomicznym.

Tylko czy rzeczywiście w naszym mieście jest tak niewielkie grono przygotowanych do zabawy w kabaret? Pan Mackiewicz podaje przerażającą liczbę — 8 osób. Skąd u tak wybitnej indywidualności taki skrajny pesymizm? A może to dotyczy twórców kabaretu, ale to też zbyt mała liczba.

Wobec tego wydaje nam się, że należy popierać snobizm na kulturę i życzyć sobie, by zataczał coraz szersze kręgi — jak to słusznie określił p. A. Królikowski w sobotniej audycji w radio — Okolice kultury. I też proponuje Małą Salę.

Środowisko literackie zastanawia się nad formą łódzkiego kabaretu? Nie potrafię tego określić, brak mi doświadczenia. Byłam tylko na pierwszej premierze „Pstraga" (było to dawno), w Teatrze Buffo i Syrenie w Warszawie oraz na gościnnych występach Wagabundy. Oglądam „Szpaka". Lubię „Podwieczorek przy mikrofonie" i Radiokabaret „Trzy po trzy" i Variete. I chyba to ma być podobne w formie? Świetnie to określił p. J. Panasewicz.., „a niechby i nie do końca literacki".

A „póki co" (podoba nam się to określenie — autorem Eugeniusz Kamiński) — należy udać się z delegacją do PRN i przedłożyć konkretne propozycje. Sądzę, że Pan również będzie rzecznikiem dobrej roboty.

Poza tym wypada przygotować premierę kabaretu literackiego właśnie na Małej Sali. Oczywiście, nie tylko dla członków najwyższego stopnia wtajemniczenia. Poza tym ważne, aby oryginalność tekstów nie polegała na udziwnianiu, które będzie zrozumiałe tylko dla elity składającej się z 8 osób i to w całej Łodzi. A swoją drogą, to bardzo ciekawe, kto znajduje się na tej liście?

HELENA SŁUBOWSKA

Zbrodnie Wehrmachtu na Ziemi Łódzkiej

Sięgnęliśmy więc w redakcji do wyników opublikowanych przez dr Szymona Datnera. Podane zostały w referacie wygłoszonym w maju 1966 roku na konferencji naukowej w Warszawie zorganizowanej przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce i Wojskowy Instytut Historyczny. Tekst referatu znajduje się w materiałach konferencji ogłoszonych drukiem w 1967 roku. Oto, co znaleźliśmy:

„Globalna liczba egzekucji dokonanych przez Niemców w województwie łódzkim wyniosła 82. (...) Łączna liczba wymordowanych — 1.116 ofiar".

„Na 82 egzekucje zidentyfikowano jako dokonane przez Wehrmacht 69, co wynosi 84,1 proc.".

„Przeciętna liczba ofiar rozstrzelanych w jednej egzekucji wynosi 9 osób. Gros egzekucji obejmują 2 do 50 ofiar. Egzekucje pojedyncze i powyżej 50 osób stanowią znikomy odsetek, bo około pół procentu; w liczbach absolutnych: trzy egzekucje pojedyncze, dwie powyżej 50 ofiar, jedna powyżej 100 (ta ostatnia to egzekucja 3 i 4 września w Złoczewie, powiat Sieradz, liczba ofiar około 200)".

Redakcja nasza uważa, iż dane dr Datnera, oparte o bardzo niekompletny materiał, dalekie są od rzeczywistości. Niech świadczą o tym konkretne przykłady, jakie cytowano w czasie redakcyjnej dyskusji.

Dalszy ciąg ze str. 1

że część ludzi, którzy relacjonowali mi to, nie żyje już.

Druga historia rozegrała się pod Lipcami Reymontowskimi, w Teresinie w dniu 10 września. Na skutek jakiejś bliżej nie określonej akcji represyjnej wymordowano wszystkich mężczyzn z całej okolicy. Zwłoki ich spalono w jednej z szop, nie można było ustalić ich ilości. Nie dokonano żadnego, nawet obrzędowego pochówku, bo ksiądz z Lipiec Reymontowskich chory na serce i zdjęty paniką, odmówił — jak mi relacjonowano — pochowania tych zwłok. W rezultacie dzisiaj na tym miejscu stoi pomniczek, na którym wypisanych jest tylko 19 nazwisk. Ufundowany został przez nieliczne rodziny, które przeżyły i które zdecydowały się po latach uciułać jakoś składkę na ten pomnik. Sprawa idzie w zapomnienie, a według relacji wszystkich świadków chodzi tu o ilość rozstrzelanych w granicach 100, a może i więcej osób, częściowo uciekinierów z Łodzi, częściowo ludności miejscowej.

W Piątku saperzy niemieccy — niewątpliwie jednostka Wehrmachtu — spędzili ludność cywilną do budowy mostu, po czym wszystkich — kilkadziesiąt osób — rozstrzelano. Świadectwem tego jest jedyny dokument, który też może ulec zaprzepaszczeniu: zapis w księdze metrykalnej z wyliczonymi nazwiskami.

Suma 69 egzekucji, dokonanych przez Wehrmacht na terenie województwa i około tysiąca ofiar, wydaje mi się w świetle przytoczonych tu faktów znikoma. Z doświadczeń dziennikarskich wiem, że takich nie notowanych miejsc, gdzie odbywały się masowe egzekucje, jest więcej. Np. w miejscowości Orla pod Łęczycą rozstrzeliwano masowo chłopów, liczba ofiar jest dziś nie do określenia. Znam dziesiątki wypadków, że egzekucje Wehrmachtu przebiegały na zasadzie masowego mordu, przy czym ciekawą ich cechą były szczegóły organizacyjne. Tak np. w wielu relacjach powtarza się fakt, że Wehrmacht w takiej sytuacji wywieszał jako sygnał czarny proporczyk. Myślałem początkowo, że to legenda, gadka ludowa, ale ta sama historia powtarza się w wielu relacjach z różnych okolic. Chłopi radomszczańscy mówią, że dopóki wisiał taki czarny proporzec, łapano wszystkich mężczyzn i rozstrzeliwano ich, a potem proporzec zdjęto i wtedy rozstrzeliwania ustały. To samo mówią pod Lipcami Reymontowskimi i pod Poddębicami. Wszędzie, gdzie tylko pojawiła się złowieszcza chorągiew, zaczynały się masowe egzekucje. To wskazywałoby już na formę taktyki Wehrmachtu. Represje były więc przewidziane, a forma ich zinstytucjonalizowana, objęta trybem postępowania regulaminowego.

STEFAN BANASIAK: Tak, to była już niewątpliwie forma taktyki Wehrmachtu. W sierpniu 1939 r. na odprawie wyższych dowódców Hitler powiedział, że nie chodzi o przesunięcie mapy politycznej, lecz o zniszczenie narodu polskiego, gdyż Niemcom potrzebna jest przestrzeń, a nie ludność. — I Wehrmacht od samego początku miał to zadanie realizować.

Na ogół wszędzie, gdzie jednostki niemieckie wkroczyły, koncentrowano ludność, głównie mężczyzn. Zbierano ich w jedno miejsce, szczególnie na wsiach i postępowano prawdopodobnie według jednolitej instrukcji. W jednych miejscowościach rozstrzeliwano zebranych cywilów, w innych puszczano ich wolno. Skąd różnice w postępowaniu? To mogło zależeć od dowódcy pułku, dowódcy dywizji, formy nacisku odgórnego na niższych oficerów, ale w wielu wypadkach mogła to też być kwestia indywidualnej inicjatywy. W każdym razie zabicie Polaka nie było czynem karalnym. I prawdopodobnie hitlerowska instrukcja dla oficerów mówiła to niedwuznacznie.

WACŁAW BILIŃSKI: Przedstawione tu fakty inspirują chyba w sposób pilny Okręgową Komisję do jak najszybszego podjęcia działalności mającej na celu zarejestrowanie i opisanie takich nie notowanych nigdzie zbrodni Wehrmachtu z terenu Ziemi Łódzkiej, a katedry Instytutu Historycznego Uniwersytetu Łódzkiego do naukowego opracowania tej problematyki. Czy w zakresie prac naukowych istnieje już jakiś precedens, tzn. czy tego rodzaju tematyka podejmowana była jako przedmiot — powiedzmy — rozprawy doktorskiej lub pracy magisterskiej?

JÓZEF DUTKIEWICZ: Ze względu na różnorodne trudności, nie zajmowaliśmy się dotychczas tą problematyką. Ten stan rzeczy ulegnie zmianie. Możemy zobowiązać się, że będziemy dawać prace magisterskie i doktorskie dotyczące okresu wojny. Konkretnie: w tej chwili mam jednego kandydata, który chce pisać rozprawę doktorską o powiecie wieluńskim. Również dwóch magistrantów zajmować się będzie w swych pracach dyplomowych problematyką wojenną w odniesieniu do określonych regionów naszego województwa.

Sprawa druga, to obozy naukowe młodych historyków. W czasie tegorocznych wakacji ZSP i ZMS zorganizowały taki obóz w województwie kieleckim, a harcerze — w koszalińskim. W przyszłym roku można by zorganizować obóz na terenie województwa łódzkiego i zająć się na nim właśnie problematyka zbrodni Wehrmachtu. W tym celu wybrałoby się dwie lub trzy określone miejscowości i młodzi historycy przeprowadziliby rozmowy ze wszystkimi żyjącymi, którzy coś widzieli, coś pamiętają (oczywiście skrupulatnie notując i poddając potem spisane przez siebie relacje koniecznej weryfikacji).

JAN PRZYBYLSKI: Nasza Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich miała już jedno spotkanie z przedstawicielami nauki. Mówiliśmy o tym, że w miarę rozrastania się materiału dowodowego zebranego przez Komisję, można by poświęcić jego opracowaniu jakieś prace magisterskie, lub — co bardziej ważkie — doktorskie. Nas bowiem w tej chwili interesuje przede wszystkim zebranie materiału dowodowego. Jak to będzie wykorzystane, to sprawa dalsza. Może wykorzysta się ten materiał za rok, za pięć lat, za dwadzieścia... Teraz ważne jest dla Komisji to, żeby ten materiał uchwycić. Czasem pół roku lub nawet miesiąc decyduje o tym, czy możemy trafić na ślad, czy też nie.

Na przykład taka historia: kiedy pojechaliśmy do Rakowa oglądać groby odkryte przez ulewny deszcz, usłyszeliśmy od ludzi:

— O, tu niejeden taki grób jest. W lesie znalazłoby się ich z pięćdziesiąt... Panowie, czemuście nie przyjechali rok temu? Tu żył gajowy, który mógłby pokazać 50 miejsc w lesie, gdzie były te groby. Ale od pół roku nie żyje, a tylko on znał te miejsca...

Ludzie umierają, świadectwa zbrodni przepadają. Co zrobić żeby trafiły do nas sygnały o wszystkich miejscach kaźni Wehrmachtu na terenie województwa? Wydaje się, że ankieta z 1945 roku i dane w niej zebrane nie obejmują całości zbrodniczej działalności Wehrmachtu. Jeśli będą dodatkowe sygnały o nie notowanych dotąd zbrodniach, to Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Łodzi dokumentację posiadającą formę prawną sporządzi (relacje w postaci protokołu sądowego lub protokołu spisanego przez któregoś z członków Okręgowej Komisji). Ale jak zorganizować akcję wstępną — zbierania sygnałów, tak, aby mieć pewność że tym razem objęte zostało nią wszystko?

WACŁAW BILIŃSKI: Najlepszym źródłem informacji o wszystkich miejscach kaźni mogłoby być nauczycielstwo. Gdyby nauczyciele zdecydowali się pomóc, to właśnie oni mogliby najszybciej i najsprawniej z całego naszego aparatu administracyjnego przeprowadzić akcję zbierania sygnałów. Konieczne byłoby wtedy rozpisanie ankiety do wszystkich nauczycieli w województwie (tzn. do wszystkich szkół, jednostką byłaby w akcji właśnie szkoła).

Niezależnie od tego można by taką samą ankietę puścić jeszcze dwoma innymi kanałami informacyjnymi proponowanymi przez prof. Lewickiego, a mianowicie: skierować ją do ZBoWiD i do Harcerstwa.

STEFAN BANASIAK: Za kanały informacyjne uważałbym też milicję oraz — to jednak mniej pewny adres — gromadzkie rady narodowe. Pomysł skierowania ankiety do szkół wydaje mi się najcelniejszy. Tym bardziej, że w szkolnictwie obowiązuje rejonizacja. To ważne, gdyż mogą być brane pod uwagę te tylko instytucje, które w dokładny sposób zamykają terytorium. Żadna wioska nie może być pominięta. Musimy bowiem ustalić jakąś statystykę, a więc konieczny jest materiał kompletny. Mając taką statystykę, skonfrontowałoby się ją z mapą ruchu jednostek niemieckich i okres przygotowywania dokumentacji dotyczącej zbrodni Wehrmachtu można by uważać za zamknięty.

BOLESŁAW W. LEWICKI: Konfrontacja mapy zbrodni Wehrmachtu z rozmieszczeniem jednostek niemieckich to jeden z koniecznych zabiegów weryfikacji. Przy przeprowadzaniu akcji trzeba będzie bowiem pamiętać o bardzo precyzyjnej weryfikacji — przez ludzi, fakty, przez prawo i korelację z ruchem wrogich wojsk. Trzeba to tak zrobić, żeby niepodważalne były nawet najmniejsze szczegóły. Tylko wtedy materiał posiadać będzie należytą wagę i może wydać nie posłużyć trojakiemu celowi:

1. Demaskowaniu zachodnioniemieckich prób rehabilitacji Wehrmachtu. Wbrew temu, co się próbuje wmówić opinii społecznej na Zachodzie, zbrodnie na ziemiach polskich są dziełem zarówno SS, Wehrmachtu, jak i Niemców cywilnych — wszystkich przebywających w Polsce urzędowo.

2. Zebrane materiały staną się jeszcze jednym dowodem, że instrukcje odgórne, przyjęte formy hitlerowskiej taktyki w niczym nie zwalniają „posłusznych" Niemców od odpowiedzialności za bestialstwa popełnione na Polakach.

3. Okrucieństwo Niemców, którego rodowodu trzeba by szukać jeszcze chyba w czasach teutońskich doprowadziło do wykrystalizowania się straszliwego sposobu prowadzenia wojny, wojny bandyckiej, wojny „z nożem w zębach". Zbrodnie Wehrmachtu ujawniają to wyjątkowe okrucieństwo takiej formy prowadzenia wojny. Są więc oskarżeniem hitlerowskich Niemiec wobec współczesnych społeczeństw, wobec historii.

JAN PRZYBYLSKI: Tylko celowo wąski zakres problematyki zagwarantuje dobre opracowanie materiału. Zajmując się wszystkim naraz, nie zrobimy niczego. Chociaż więc będziemy mieli do czynienia z różnorodnymi, zazębiającymi się zagadnieniami, powinniśmy ograniczyć nasza akcję do opracowywania zbrodni Wehrmachtu. Ale czy tylko we wrześniu?

STEFAN BANASIAK: Nie zamykajmy badanego okresu w zbyt wąskich ramach. Ludzie nie pamiętają dobrze dat. Utrudniłoby nam to dokładne przeprowadzenie akcji. Powiedzmy więc, że chodzi o zbrodnie Wehrmachtu z 1939 roku. A dokładnym ustaleniem dat i tak musimy się zająć my — historycy.

WACŁAW BILIŃSKI: Wyrażając nadzieję, że akcja, o której mówiliśmy w dyskusji zostanie niebawem podjęta i przyniesie oczekiwane rezultaty, chciałbym podkreślić jeden aspekt sprawy: ofiara tych anonimowych do dziś zbrodni Wehrmachtu byli w głównej mierze chłopi. A właśnie problematyka cierpień i ofiar poniesionych w czasie okupacji hitlerowskiej przez polskie chłopstwo jest najmniej opracowana. Może dlatego, że jest najtrudniejsza, bo najbardziej wymykająca się z naszego pola widzenia. Musimy — póki jeszcze czas — wypełnić tę lukę. To nasz społeczny, obywatelski obowiązek.

Notowała: EWA SIEMIŃSKA

Nożycami przez PRASĘ

KATATYMIA

Starsze roczniki obywateli pamiętają: w pierwszych latach po wojnie w wystąpieniach mówców i w nagłówkach gazet często występowało słowo „bitwa" w najrozmaitszych kontekstach. Bitwa o handel, bitwa o kadry, wreszcie nawet... bitwa o guziki. Felieton „Polityki" (autor: A. Gut) wyszydza od dłuższego czasu panujący w prasie swoisty katastrofizm.

Oto kilka próbek informacji katastroficznych z ostatnich tygodni.

Jedna z gazet pisała: „Moda na białe tenisówki... czapki z daszkiem — „lodziarki" — ruch nastolatków na kioski..." A więc żywioł. Czy można go było przewidzieć? Skądże, nagły popyt zaskoczył przemysł i handel. Zerkam na kalendarz — zgadza się, żywioł ruszył w terminie. Zwróćmy uwagę na pewien „niuansik" zawarty w powyższej informacji. To nie przemysł i handel zaskoczyły nastolatków, lecz odwrotnie!

Ale to drobiazg w porównaniu z tytułami w rodzaju: „Nadciąga szczyt przewozów", „Trudny egzamin spółdzielczości przetwórczej" (obrodziły śliwki), „Uwaga, remonty szkół", „Jak jesteśmy przygotowani do zimy"... „Punkty skupu zaskoczone przez rolników"...

Usankcjonowaliśmy zaskoczenie tam, gdzie go nie powinno być, a w każdym razie nie powinno się zbyt długo i często powtarzać.

Jasne, że niektórym kierownikom z różnych dziedzin jest to potrzebne lub wygodne: sytuacja przedstawiona jako napięta i trudna usprawiedliwia mankamenty, wytłumaczy nieudolność. Ale po co mają brać w tym udział dziennikarze i denerwować nas, szarych czytelników, mieszkańców i tak niespokojnego globu?!

Felietonista powołuje się na katatymię. Cóż ona oznacza?

Katatymia, to wpływ uczuć na sądy, powodujący czasem błędne ujęcie rzeczywistości. Niestety, zbyt wielu ludzi z przemysłu, transportu czy handlu dość często nawiedza katatymia.

MŁODZIEŻ DO SZKÓŁ!

Przytaczałem w tej rubryce szczegóły, związane z rozpoczętą na terenie stolicy akcją obowiązkowego zawodowego kształcenia młodzieży od lat 15 do 18, nie uczęszczającej do szkół, zbijającej bąki.

Dalszy ciąg tych spraw omawiają „Kierunki". Według kuratorium zgłosiło się 3.300 młodych ludzi i skierowano ich do szkół. Jednak według obliczeń powinno było się zgłosić znacznie więcej. „Kierunki" wysuwają cały szereg postulatów, których realizacja przyczyni się do powodzenia tej poważnej inicjatywy. Czytamy:

Jeśli eksperyment powiedzie się w Warszawie, to powiedzie się w całej Polsce. Powieść może się tylko w wypadku, gdy obok twórczej idei zostanie zastosowana odpowiednia „technika".

Nawet odtwarzanie z taśmy magnetofonowej tekstu obwieszczenia w kinie „Śląsk" podczas ostatniego seansu (kiedy siedzi tam dorosła publiczność) nie zastąpi rzetelnej pracy komitetów blokowych, które są, albo powinny być w stanie zbadać, jak wielu młodocianych nie podjęło pracy czy nauki.

Nawet rozlepienie kilkunastu tysięcy plakatów nie zmusi zainteresowanych do zarejestrowania się w odpowiednich Inspektoratach Oświaty, o ile do całej imprezy nie przyłączy się milicja, posiadająca przecież znakomite rozeznanie nie tylko w śródmiejskiej dzielnicy Warszawy.

ZNOWU O JĘZYKU

Któż nie narzekał na język, jakim posługują się niektórzy krytycy i recenzenci — przede wszystkim literaccy! Na ich terminologiczno-pojęciowy barok, a raczej żargon, często kryjący mętniactwo i nieuctwo, niesamodzielność sądów. Zamiast pośredniczyć między twórcą a odbiorcą, zaciemniają sprawę.

Anglista Henryk Krzeczkowski wraca do tego problemu na łamach „Tygodnika Powszechnego", znajdując własne wyjaśnienie zjawiska. Oto awans społeczny nauk przyrodniczych i matematycznych pobudził niektórych przedstawicieli humanistyki do pseudonaukowości. Chcąc się upodobnić, weszli w pozory.

Sposób ten niemal zawsze sprowadza się do budowania zasłony z żetonów wyższości intelektualnej. Będzie to więc obfite cytowanie ezoterycznych dzieł, natrętne wprowadzanie terminów zapożyczonych z wszelkich możliwych dziedzin, wspieranie się erudycją zaczerpniętą z popularnych artykułów i wypisów. Dziwna to zaiste metoda walki; zamiast kontrataku, wybrano obronę najsłabszych — mimikrę. Recenzje i felietony upodobniły się do rozpraw naukowych, ale tylko z pozoru. Naśladując język naukowy służący do porozumiewania się ludzi nauki, publicyści literaccy stworzyli swój własny język służący w najlepszym wypadku do ukrywania myśli, w innych zaś, do osłaniania bezmyślności.

SPROSTOWANIE

Przykro jest czepiać się zaawansowanych staruszków. Ale kiedy staruszek jest zrzędliwym zadufkiem i nie dopisuje mu pamięć, trzeba czasem jego wypowiedzi prostować. I tym razem chodzi o Hamiltona z „Kultury". Omawiając najnowszą powieść kryminalną „Życia Warszawy", staruszek Hamilton drwi, iż rozgrywa się ona w środowisku rzemieślników, z zapałem mordujących milicjantów. Istotnie, po co nam zmyślenia skoro mamy wiele ofert, często o szerokim zasięgu i powieść kryminalna mogłaby naprawdę stać się czymś bardziej „życiowym". Przy okazji Hamilton wymienia przedwojennych autorów — byłych złodziei: Urke Nachalnika i Sergiusza Piaseckiego.

Co do Nachalnika zgoda! Piasecki jednak to zupełnie inny kaliber. Nie jakiś tam złodziejaszek — tacy nie otrzymywali wyroków śmierci lub dożywocia na Świętym Krzyżu — ale przemytnik i agent wywiadu. Kaliber literacki w zestawieniu z Nachalnikiem także inny. Radzę Hamiltonowi przeczytać głośna w swoim czasie powieść Piaseckiego „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy". To dobra powieść!

JAN OLECHNO

23 lata w służbie społeczeństwa

7 października minęła 23 rocznica powołania Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa. Dwadzieścia trzy lata na straży praworządności, ładu i porządku publicznego. Blisko ćwierć wieku!

Stabilizacja życia publicznego w Polsce Ludowej zmieniła kryteria ocen moralnych, ideowych i fachowych funkcjonariusza MO, jako przedstawiciela władzy ludowej. Pociągnęło to za sobą, na przestrzeni minionych dwudziestu trzech lat, ogromne przeobrażenia jakościowe zarówno w oficerskiej, jak i szeregowej kadrze Milicji Obywatelskiej.

Dziś, po pokonaniu przeróżnych trudności i stworzeniu potrzebnej bazy, bardzo szybko kształtuje się typ funkcjonariusza MO, odpowiadającego pojęciom i wysokim wymogom współczesnego społeczeństwa socjalistycznego.

Nasza redakcja zwróciła się do komendanta Łódzkiej Komendy Milicji Obywatelskiej, płk. mgr Henryka Piotrowskiego, z prośbą o odpowiedź na kilka pytań, dotyczących kadry funkcjonariuszy łódzkiego garnizonu MO.

– Jakie wymagania stawia się dziś kandydatowi na funkcjonariusza MO?

– Duże. Wysoki poziom moralny i ideowy, kultura osobista, odpowiedni cenzus naukowy, dobra prezencja, wymagane warunki fizyczne, i szereg innych. Te są podstawowe. Niejako kryteria wstępne.

Na przestrzeni minionych lat wymagania te stale wzrastały i fakt ten był przyczyną dużej fluktuacji w milicyjnej kadrze. Pewna część nie mogła sprostać zadaniom, i zrezygnowała z pracy, odchodząc do innych gałęzi gospodarki narodowej, z części musieliśmy zrezygnować sami. Na ich miejsce przyszli nowi ludzie. Dobieraliśmy ich bardzo starannie. Nie było to łatwe zadanie, ale rozwiązaliśmy je z dobrym rezultatem.

– Jakiego wykształcenia wymaga się od kandydata na funkcjonariusza milicji?

– Kandydat na oficera MO musi mieć minimum wykształcenie średnie. Ponadto obowiązany jest ukończyć Oficerską Szkołę Milicyjną z poszerzonym programem nauczania.

Dla przykładu podam parę cyfr. Oto w grudniu 1960 roku, więc w piętnastym roku istnienia MO, na stanowiskach wymagających wykształcenia średniego i wyższego pracowało 39,9 proc. funkcjonariuszy odpowiadających owym wymaganym cenzusom naukowym. Dziś liczba ich wzrosła do 80 procent, pozostałe 20 procent uzupełnia wykształcenie i już niebawem osiągniemy na tym odcinku służby MO 100 procent.

– Jaki procent pracowników milicji łódzkiego garnizonu posiada wykształcenie wyższe?

– Dla konfrontacji dwie daty: w roku 1960 wyższe wykształcenie miało ponad 10 procent funkcjonariuszy MO. Dziś, w roku 1967, według stanu na dzień 1 bm. – ponad 28 proc. Wzrost o 18 procent na przestrzeni siedmiu lat.

– Jakie kierunki studiów reprezentują posiadacze dyplomów wyższych uczelni?

– Przeróżne. Politechniczne, prawnicze, ekonomiczne, socjologiczne, pedagogiczne, nawet filologiczne. Dodam przy tym, iż napływ kandydatów z wyższym wykształceniem stale się zwiększa, co oczywiście, bardzo nas cieszy.

– Czy w ten sposób, wszystkie stanowiska, do których przywiązane jest wykształcenie wyższe, są już obsadzone?

– Nie. Jeszcze nie. Część tych funkcji wykonują pracownicy ze średnim wykształceniem. Przy sposobności wspomnę, iż wszystkie stanowiska w łódzkim garnizonie MO, do których przywiązane jest średnie wykształcenie, są obsadzone wedle wymaganego cenzusu. Więc pełne 100 procent.

– Czy oprócz wymaganego cenzusu naukowego, funkcjonariusz MO musi skończyć jeszcze odpowiednią szkołę milicyjną?

– Oczywiście. Wszyscy kandydaci po przyjęciu do służby w MO muszą się jeszcze kształcić w specjalistycznych, oficerskich lub podoficerskich szkołach milicyjnych.

Nie przesadzę ani trochę, jeśli powiem, iż cała nasza kadra milicyjna nieustannie się kształci lub dokształca.

– Czy są jakieś szkoły milicyjne o specjalnych kierunkach nauczania?

– Naturalnie, wspomniałem już o tym. Klasycznym przykładem takiej szkoły jest Roczna Specjalistyczna Szkoła Drogowa, którą muszą ukończyć dosłownie wszyscy funkcjonariusze służby ruchu drogowego MO.

– Na tym odcinku służby MO widać ogromną poprawę. Taka jest powszechna opinia łódzkich kierowców.

– Cieszy nas to. Dużą rolę odgrywa bardzo staranny dobór kandydatów do służby ruchu drogowego MO. Tutaj kandydat, nawet na szeregowego funkcjonariusza, musi mieć wykształcenie średnie.

– A kandydaci na szeregowych w innych służbach?

– W zasadzie powinni mieć wykształcenie średnie. Jednakże w pewnych uzasadnionych przypadkach, przyjmujemy również kandydatów z wykształceniem podstawowym i zawodowym. Niezależnie od tego kierujemy ich do 8-miesięcznej szkoły podoficerskiej MO. Ukończenie jej jest warunkiem sine qua non każdego szeregowego MO.

– Wraz z rozwojem operacyjnych i technicznych służb MO zaszła z pewnością konieczność rozszerzenia kadry pracowników o bardzo zróżnicowanych specjalnościach technicznych!

– Tak, i to z wyższym i średnim wykształceniem. Nawet z zakresu elektroniki. Kończą też oni u nas określone kursy specjalistyczne na poziomie akademickim. Że wymienię choćby pracowników służby kryminalnej.

Uczymy się nieustannie.

* * *

Łodzianie wysoko oceniają niezmiernie trudną, niebezpieczną i odpowiedzialną pracę milicji. To przecież milicjant, w dzień i w nocy, w deszcz, czy pogodę, jak rok długi, strzeże ładu, porządku i bezpieczeństwa w mieście, patroluje ulice i szosy, chroni mienie państwowe i prywatne, zapobiega przestępstwom, godzi zwaśnionych, strzeże cudze życie, nieraz przecież oddając swoje.

Zawsze na swym posterunku, zawsze na każde zawołanie!

Komenda Łódzka MO otrzymuje setki listów od obywateli naszego miasta, którzy wyrażają w nich milicjantom i milicji wdzięczność za okazaną pomoc.

Oto fragmenty niektórych listów:

„Obywatelu Komendancie, w związku z pomyślnym załatwieniem mojej osobistej i bardzo przykrej dla mnie sprawy, oraz za okazanie serca i ludzkie podejście, pragnę na Wasze ręce złożyć podziękowanie dla porucznika Ob. Syski oraz dzielnicowego Ob. st. sierżanta Józefa Sarzały. Załączam życzenia dalszej pomyślnej i owocnej pracy oraz zadowolenia osobistego".

(–) Podpis i adres

* * *

„Kierownictwo Ogrodu Jordanowskiego nr 3 w Łodzi, ul. Zgierska nr 139 składa na ręce Obywatela Komendanta podziękowanie za ofiarną służbę funkcjonariusza Komendy Dzielnicowej MO Łódź-Bałuty, nr służbowy 1079 II, który dzięki poważnemu zaangażowaniu w pracy nad zabezpieczeniem ładu, porządku publicznego w rejonie parku im. Adama Mickiewicza na Julianowie, wydatnie pomaga personelowi pedagogicznemu wspomnianej placówki w trudnej pracy wychowawczej. Służy też niejednokrotnie pomocą i radą w kwestii wychowania dorastającej młodzieży".

(–) Podpis

* * *

„Pragnę wyrazić podziw i uznanie dla sprawnej pracy służb MO, a jednocześnie złożyć podziękowanie za trud, jaki związany był z ujęciem sprawców włamania i kradzieży w moim mieszkaniu... Pragnę podkreślić, iż tak pracujące organa ścigania zasługują na najwyższe uznanie i szacunek, a Obywatel Komendant może być dumny z takich podwładnych".

(–) Podpis i adres

* * *

„Dyrekcja Szpitala im. M. Pirogowa w Łodzi składa serdeczne podziękowanie za zrozumienie i pomoc okazaną ordynatorowi Oddziału Chirurgicznego naszego Szpitala w ratowaniu życia ludzkiego. W dniu 8. VI. 67 r., około godz. 22 radiowóz MO, patrolujący ulicę osiedla Władysławy Bytomskiej przewiózł dr Myczkowskiego, spieszącego do Szpitala do nagłej operacji, znacznie skracając w ten sposób czas jego przyjazdu.

Różne rodzaje pomocy okazywanej przez Milicję Obywatelską społeczeństwu zyskują Jej coraz więcej sympatii".

(–) Podpis

* * *

„Składam na Wasze ręce serdeczne podziękowanie za daleko idącą pomoc, którą okazał mi starszy sierżant z Komisariatu Kolejowego MO Łódź-Kaliska – ob. Kazimierz BALCEREK.

Jadąc do Łodzi w dniu 29 czerwca br. zostawiłem w domu, w Stroniu Śląskim, portfel z dokumentami i pieniędzmi. Stwierdziłem ten fakt wysiadając z pociągu na dworcu Łódź-Kaliska. Znalazłem się w sytuacji wprost bez wyjścia – bez dokumentów, bez pieniędzy i bez znajomych w Łodzi. Położenie moje było trudne – zgłosiłem się o pomoc do Komisariatu Dworcowego. St. sierż. Balcerek pożyczył mi – nieznanemu sobie podróżnemu – 150 zł, bym mógł powrócić do domu.

Pozwalam sobie tą drogą złożyć podziękowanie st. sierż. K. Balcerkowi za okazaną mi pomoc i naprawdę ludzki stosunek do człowieka".

(–) Podpis i adres

MARIAN WILK

Pięćdziesiąt lat polityki zagranicznej ZSRR

Grzegorz Jaszuński podjął próbę popularnego przedstawienia głównych kierunków polityki zagranicznej Związku Radzieckiego na przestrzeni 50 lat jego istnienia [1]). Zadanie nie należało do łatwych, jeżeli weźmiemy pod uwagę dużą aktywność dyplomacji radzieckiej i obfitość wydarzeń międzynarodowych tego okresu.

Ważnym elementem w działalności rządu radzieckiego była sprawa dyplomatycznego uznania Kraju Rad przez państwa kapitalistyczne. Jaszuński zajmuje się tym zagadnieniem, omawiając najpierw udział Rosji Radzieckiej w konferencji genueńskiej z 1922 r., poświęconej problemom gospodarczym powojennej Europy. Dyplomacja radziecka mogła wówczas po raz pierwszy przedstawić światowej opinii publicznej swe stanowisko w węzłowych kwestiach współpracy międzynarodowej, wypłacenia odszkodowań wojennych i rozbrojenia.

Udział delegacji radzieckiej w konferencji w Genui przyśpieszył normalizację stosunków między Związkiem Radzieckim a państwami kapitalistycznymi. Te ostatnie decydowały się na nawiązanie stosunków dyplomatycznych głównie ze względów gospodarczych — otwierały się bowiem możliwości korzystnej wymiany handlowej. W ten sposób na początku 1924 r. rząd radziecki uznany został przez Wielką Brytanię, Włochy, Norwegię, Austrię i Szwecję. W październiku 1924 r. nawiązane zostały stosunki dyplomatyczne między ZSRR i Francją, Stany Zjednoczone uznały Związek Radziecki dopiero w 1933 r. Dodajmy od siebie, o czym Jaszuński nie pisze, że już w 1921 r. Rosja Radziecka zawarła porozumienia handlowe z Anglią, Niemcami i amerykańską spółką akcyjną; w tymże roku podpisane zostały porozumienia z Iranem, Afganistanem, Turcją i Mongolią. Republika radziecka wychodziła z izolacji ekonomicznej.

Oddzielnie omawia autor radzieckie propozycje rozbrojeniowe przedstawione po raz pierwszy w 1927 r. podczas prac tzw. komisji przygotowawczej konferencji rozbrojeniowej w Genewie. Przedstawiciel Związku Radzieckiego, zastępca Ludowego Komisarza Spraw Zagranicznych — Maksim Litwinow, przedłożył wówczas komisji szczegółowy plan rozbrojenia. Radziecki plan nawoływał do zniszczenia wszelkiego rodzaju broni i amunicji oraz środków wojny chemicznej. Wzywał do likwidacji baz morskich i lotniczych, zakładów przemysłu zbrojeniowego oraz zakazu propagandy wojennej.

Rząd ZSRR ponownie przedstawił swoje propozycje podczas genewskiej konferencji rozbrojeniowej, która rozpoczęła obrady 2. II. 1932 r. M. Litwinow przedłożył konferencji projekt międzynarodowej konwencji w sprawie powszechnego i całkowitego rozbrojenia. Sądząc, iż uczestnicy konferencji uznają projekt za zbyt daleko idący, delegacja radziecka wystąpiła jednocześnie ze skromniejszym planem proporcjonalnej i stopniowej redukcji zbrojeń. Jednakże i ten plan odrzucony został przez uczestników konferencji. Poparła go jedynie delegacja turecka.

Związek Radziecki, pisze Jaszuński, podejmował drogą dwustronnych układów i rokowań, dalsze wysiłki mające na celu ugruntowanie pokoju w Europie. Przykładem może być polsko-radziecki pakt o nieagresji z 25. VII. 1932 r., poparcie udzielane dyplomacji francuskiej w sprawie podpisania tzw. paktu wschodniego, mającego zapobiec możliwości agresji ze strony Trzeciej Rzeszy (1934 r.) czy podpisanie układów z Francją i Czechosłowacją (1935 r.).

Delegaci Związku Radzieckiego wielokrotnie występowali na forum Ligi Narodów, wskazując na niebezpieczeństwo wybuchu konfliktu światowego.

Z różnorodnych poczynań radzieckiej dyplomacji podczas drugiej wojny światowej. Jaszuński wybrał tylko trzykrotne rozmowy Stalina z prezydentem USA i premierem Wielkiej Brytanii. Autor zwraca uwagę na te momenty dyskusji „Wielkiej Trójki", które dotyczyły Polski.

W dziejach radzieckiej polityki zagranicznej bardzo ważne znaczenie miała konferencja w Poczdamie (17. VII. — 2. VIII. 1945 r.). Głównym punktem obrad był problem powojennych Niemiec. Wysiłki dyplomacji radzieckiej doprowadziły do uchwalenia szeregu postanowień, mających na celu przekształcenie Niemiec w państwo demokratyczne i pokojowe. Opracowany został szeroki program denazyfikacji, dekarteliza cji i demilitaryzacji Niemiec.

W Poczdamie zapadły uchwały w sprawie zachodniej granicy Polski. Zgodnie z życzeniami Polski, przedstawionymi w Poczdamie, dzięki poparciu delegacji radzieckiej, granica została wytyczona wzdłuż Odry i Nysy Łużyckiej.

Wyniki konferencji poczdamskiej były dużym sukcesem dyplomacji radzieckiej. Podjęto wiele doniosłych i słusznych uchwał. Ale był to jednocześnie ostatni akt zgodnej współpracy ZSRR, USA i Wielkiej Brytanii. Wkrótce po zakończeniu konferencji mocarstwa zachodnie zaczęły sabotować wspólnie podjęte uchwały. Rozpoczął się okres „zimnej wojny" przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

Ostatnie partie omawianej książki przedstawiają właśnie główne problemy polityki zagranicznej Związku Radzieckiego w latach 50 i 60-tych XX w. Sporo miejsca poświęcił autor stosunkom ZSRR z krajami socjalistycznymi, działalności dyplomacji radzieckiej na forum ONZ, radzieckim planom rozbrojeniowym i współpracy ZSRR z krajami Trzeciego Świata.

Sądzę, że niewielka objętościowo, mająca charakter popularny książeczka G. Jaszuńskiego będzie pomocna przede wszystkim uczestnikom szkolenia partyjnego, nauczycielom i lektorom TPP-R.

---

[1]) Grzegorz Jaszuński, Pięćdziesiąt lat radzieckiej polityki zagranicznej. Warszawa 1967. KiW, 16°, ss. 125. zł 5.

Książki nadesłane

Andrzej Brycht: „Raport z Monachium", Inst. Wyd „Pax", cena zł 10.–

Juliusz Nowak-Dłużewski: „Z historii polskiej literatury i kultury" Inst. Wyd. „Pax" cena zł 60.–

Zdzisław Umiński: „Polowanie na dzikie kaczki" Inst. Wyd. „Pax", cena zł 10.–

Antoine de Saint Exupéry: „Nocny lot" Inst. Wyd. „Pax", cena zł 5.–

Stanisław Pasternak: „Słowa i rzeczy," Ossolineum cena zł 10.–

Lucjan Kiełkowski: „Przybliżanie twarzy" Ossolineum cena zł 10.–

Jerzy Ochmański: „Historia Litwy" Ossolineum cena zł 75.–

„Poezja Młodej Polski" Ossolineum, cena zł 33.–

Czarne kłopoty białej Anglii

Anglicy szczycą się swą rzekomą tolerancją w stosunku do kolorowych współobywateli. Przeciętny Brytyjczyk niezachwianie wierzy, że wszyscy obywatele jego kraju, bez względu na kolor skóry korzystają z równych praw, i że o żadnej dyskryminacji na tle rasowym nie może być mowy.

Rzeczywistość jednak przedstawia się zgoła odmiennie. Imigranci z Azji, Afryki, wysp Morza Karaibskiego i ich potomkowie gnieżdżą się w slumsach ubogich dzielnic Londynu Notting Hill i Islington, gdzie tworzą swoiste getto. Mają tam swój odrębny świat i odrębne obyczaje.

Przyznać należy, że przyjazne stosunki między białymi i ciemnoskórymi mieszkańcami Wielkiej Brytanii nie należą do rzadkości, lecz zdarzają się prawie wyłącznie wśród obywateli w wieku do 13—14 lat. W okresie dorastania kończą się wspólne gry i zabawy, wspólne spacery. Matki krzywo patrzą na czarnych kolegów synów. A gdy nadchodzi pora na spacery z dziewczętami, młody Anglik, znajdując się w towarzystwie dziewczyny, przy spotkaniu z dawnym przyjacielem o odmiennym kolorze skóry, udaje, że go nie dostrzega lub nie poznaje.

Dla młodocianych Murzynów jest to przeżycie bardzo bolesne.. Młode pokolenie wychowane w szkołach angielskich, w innym otoczeniu niż

SZYMON KOBYLIŃSKI

TECHNIKA a MY

Lekarz na oceanie

Od pewnego czasu, w efekcie umowy zawartej przez szpital im. Pirogowa w Łodzi z „Dalmorem" w Gdyni, lekarze tego szpitala wywływają w rejsy dalekomorskie rybackimi statkami „Dalmoru". W jednym z ostatnich rejsów M/T „Auriga", trwającym od końca marca do połowy lipca, uczestniczył dr Eugeniusz Kamerski. Jakie są zadania lekarza pokładowego, jak się czuje lekarz — „szczur lądowy" przemieniony w lekarza — „wilka morskiego", jakie przygody przeżywa się na Atlantyku?

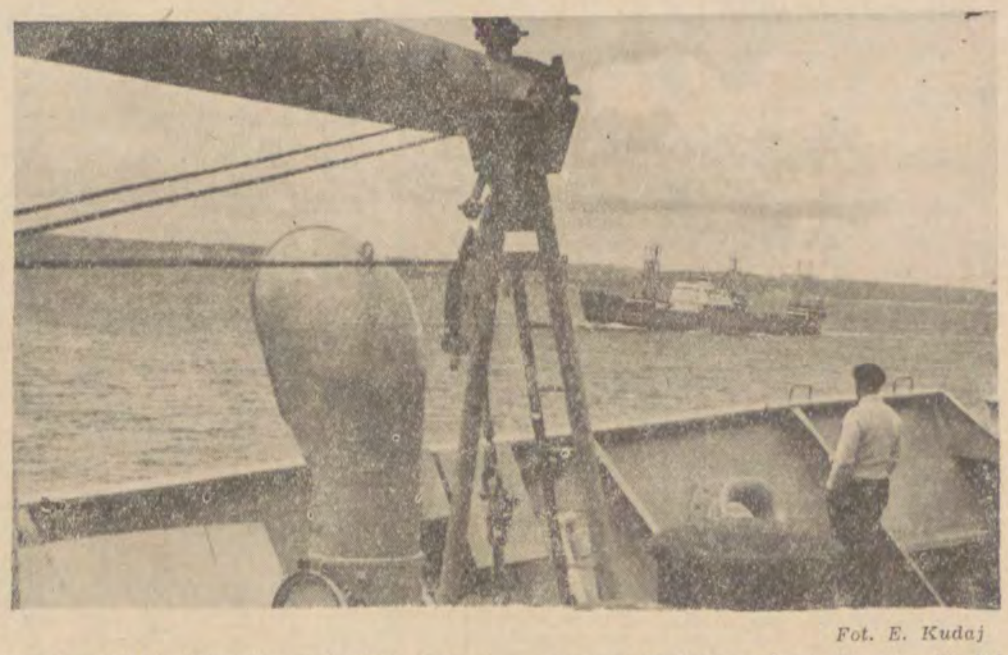

Fot. E. Kudaj

Niełatwo jest zdobyć zaufanie załogi statku — grupy ludzi, żyjących w specyficznych warunkach, scementowanych tymi warunkami zamknięcia w pomieszczeniu statku na pełnym morzu i swoistymi cechami psychicznymi, jakie te warunki kształtują. Odwaga, fantazja, zręczność, doskonała znajomość statku i morza, a jednocześnie pewna drażliwość, uczulenie spowodowane oddaleniem od kraju i rodziny, a także warunkami pracy w nieustannym kołysaniu, nieustannym hałasie pracujących maszyn, nieustannym napięciu uwagi. Rejs trawlera trwa około 120 dni, marynarz odbywa rocznie 2—3 rejsy, praktycznie więc jest prawie cały rok na morzu. Kiedy na krótko przybywa na ląd, nie ma czasu na załatwienie wielu spraw rodzinnych i osobistych, swoje wątpliwości i problemy zabiera z powrotem na morze. Załamania psychiczne zdarzają się u ludzi morza dość często i rzecz w tym, by z „interwencją" wkroczyć w odpowiednim momencie, pomóc radą, czy po prostu zwykłą, przyjacielską rozmową. Może to zabrzmi trochę patetycznie, ale lekarz pokładowy musi być trochę powiernikiem, trochę spowiednikiem, a na pewno przyjacielem.

Na statku znalazłem się nie mając żadnych doświadczeń w tym względzie, ani znajomości środowiska. Zdawałem sobie sprawę, że morskie wygi będą mnie wypróbowywać. Rzeczywiście przeszedłem przez kilka prób ogniowych i musiałem użyć całego swojego sprytu, by wyjść z nich zwycięsko. Ale przede wszystkim starałem się być zawsze razem z nimi, poznać wszystkie działy pracy — to było mi potrzebne jako lekarzowi.

Miałem chyba szczęście, że w czasie tego rejsu nie zdarzył się żaden poważniejszy wypadek wymagający interwencji chirurgicznej. W zasadzie przepisy zabraniają dokonywania zabiegów operacyjnych na morzu. Mnie osobiście wydaje się, że przepisy te należałoby nieco uelastycznić. Na statku istnieją warunki dla dokonywania drobniejszych zabiegów, na które marynarze, przebywający w domu, nigdy nie mają czasu. Ale to dygresja. Mogłem więc spokojnie zająć się przede wszystkim działalnością profilaktyczną. Marynarze cierpią głównie na schorzenia dermatologiczne, jest to wynikiem braku słońca, częstym przebywaniem pod pokładem i nie kontrolowaną dietą. A więc głównym lekiem była lampa kwarcowa. Niewłaściwa dieta, plus dobre na morzu apetyty sprawiają, że nawet najmłodsza część załogi odznacza się nadmierną tuszą. Używając różnych argumentów zdrowotnych, a jeszcze bardziej psychologiczno-ambicjonalnych, osiągnąłem praktyczne poparcie smukłej linii u sporej części załogi.

* * *

Trasa „Aurigi" wiodła z Gdyni przez Cieśninę Skagerrak, Morze Północne do Ostendy, gdzie zostawiliśmy ładunek ryb, następnie przez Kanał La Manche na Ocean Atlantycki. Celem rejsu był dorsz. To w całym świecie droga i ceniona ryba. Tylko u nas, wśród pozostałości tzw. minionego okresu pokutuje brzydkie rymowane hasło kompromitujące dorsza. Dążyliśmy na łowiska północnoatlantyckie u wybrzeży Nowej Funlandii, a następnie mieliśmy się udać na łowiska Labradoru. Skazani byliśmy na chłód, bo dorsz lubi zimno, płynie za lodem. My zaś płynęliśmy za dorszami.

W okolicy St. John's — stolicy Nowej Funlandii, spotkaliśmy statek naszej floty, który miał awarię. Trzeba było go holować do portu. Niestety do St. John's nie mogliśmy się dostać, bo choć „Auriga" ma klasę lodową, nie mogła przedrzeć się przez tak olbrzymie zwały gór lodowych. Popłynęliśmy więc do Halifaxu — jednego z głównych portów atlantyckich — stolicy Nowej Szkocji. Dzięki tej przygodzie znalazłem się na lądzie Północnej Ameryki. W Halifax spędziliśmy kilkanaście godzin. Jest to miasto dość stare, założone w połowie XVIII wieku, przypominające trochę miasta, które oglądamy w amerykańskich westernach. Dzielnica mieszkaniowa składa się z szeregu drewnianych, malowanych kolorowo jednorodzinnych domków. W sumie — raczej nie ciekawe, jedyną ciekawostką godną obejrzenia jest wielki wiszący most, przerzucony nad zatoką.

Potem wróciliśmy na łowisko. Załoga narzekała na rejs. Połowy były wciąż za małe, choć mnie wydawało się, że ryb jest mnóstwo. 25 ton dorsza z jednego połowu to dla mnie była ilość gigantyczna, załoga była niezadowolona. Dopiero kiedy na łowisku Labradoru, w ciągu jednego dnia uzyskano 100 ton ryb, zrozumiałem przyczyny tego niezadowolenia. Taki połów to już dla statku ostry alarm, zwany pospolitym ruszeniem. Kto żyw rusza na pomoc załodze przetwórni. Do sortowania ryb, układania filetów itd. zabiera się 100-osobowa załoga statku z podoficerami i oficerami włącznie. „Auriga" to cały kombinat przemysłowy zajmujący się produkcją filetów, zamrażaniem ryb, a także produkcją mączki rybnej i tranu. Nic dziwnego, że kwalifikacje techniczne załogi są na ogół bardzo wysokie, często na poziomie wyższego wykształcenia.

* * *

Do końca maja pozostaliśmy na łowiskach Labradoru, potem popłynęliśmy na południe. Kończyło się paliwo, żywność, woda, zbliżał zaś termin spotkania z kupcem, który miał zabrać nasze połowy dla Stanów Zjednoczonych. Płynęliśmy do St. Pierre, stolicy wysp francuskich u wybrzeży Kanady — St. Pierre et Miquelon. Wyspy te słyną z pięknych dziewcząt, po żony przyjeżdżają tu młodzi ludzie ze Stanów Zjednoczonych i Kanady. Z St. Pierre udaliśmy się do St. John's, również w sprawach handlowych. W każdym porcie, w którym zatrzymaliśmy się obowiązywał mnie tradycyjny zwyczaj: pytałem czy w którymś ze szpitali są polscy marynarze, jeśli byli, musiałem ich odwiedzić. W St. John's odwiedziłem chorego marynarza, a drugiego, rekonwalescenta, zabrałem na pokład.

Przy okazji pobytu w St. John's poznałem interesującego człowieka, dzięki któremu zwiedziłem miasto. Jest to były wojskowy pochodzenia polskiego (w kraju nigdy nie był), wszyscy nazywają go Mr. Stanley. Kiedy tylko do portu wpływa polski statek, Mr. Stanley pojawia się tam, wita i jest tłumaczem jeśli tego potrzeba. Proponowano mu nawet płatną posadę tłumacza, ale odmówił. Wytłumaczył mi dlaczego. Kiedyś, przed laty, znalazł się w bardzo ciężkiej sytuacji, stracił wszystkie oszczędności całego życia. W morzu ludzkiej obojętności bezinteresowna pomoc i życzliwość okazał mu tylko jeden Polak. Od tego czasu p. Stanley przyrzekł sobie, że będzie pomagał Polakom i zawsze bezinteresownie.

Z St. John's popłynęliśmy jeszcze raz na łowiska, by uzupełnić ładunek dorsza. Załoga zaczęła już myśleć o powrocie do kraju. W ostatnim okresie, a szczególnie w ostatnich dniach rejsu, połowom towarzyszy nerwowe podniecenie: ile złowiliśmy, ile jeszcze trzeba złowić, żeby można wracać do domu. Wszyscy czekają na tę chwilę, w której odezwie się trzykrotny sygnał syreny na cześć Neptuna, sygnał oznaczający: cała naprzód do Gdyni!

* * *

W zasadzie trudno jest powiedzieć, że wyprawa trawlera na Atlantyk jest wyprawą samotną. Na łowiskach znajduje się wiele statków, czasem do 200, często łowiących tuż, tuż obok siebie. Radzieckie, francuskie, niemieckie i inne, gromadza się tam, gdzie ryb najwięcej. Można nawet powiedzieć o swego rodzaju życiu towarzyskim, prowadzonym przy pomocy krótkofalówek. Między jednostkami „Dalmoru" wymienia się informacje o stanie połowów, miejscach gdzie jest najwięcej ryb itd. Na statku organizuje się koncerty, konkursy, zgaduj-zgadule, dwa razy w tygodniu wyświetlany jest film, ale największą atrakcją jest złapanie Warszawy przez radio. To jest największy powód do dumy i zazdrości ze strony kolegów. Zadania kontaktu z krajem nie spełnia chyba należycie codzienna gazetka „Głos marynarza i rybaka" nadawana przez Gdynię-Radio. Nadawane z uporem komunikaty o stanie pogody na Wybrzeżu i informacje w równym stopniu co tamte nie interesujące załogi sprawiają, że gazetka ta jest mało popularna.

* * *

Nasz rejs zbliżał się ku końcowi. Muszę przyznać, że od początku traktowałem go trochę jako przygodę, spełnienie młodzieńczych marzeń o dalekich wyprawach w morze, groźnych niebezpieczeństwach, pięknych widokach. Coś z tego na pewno się spełniło. Niezapomnianym widokiem była zorza polarna, piękne i groźne — góry lodowe, między którymi bezpiecznie, z prawdziwą maestrią potrafił kierować statkiem kapitan Władysław Sztachelski, nie tylko znakomity fachowiec, ale i rozmiłowany w swym zawodzie człowiek, który urlopy spędza jako... wędkarz. Piękne były foki, bawiące się na krach lodowych, piękne wieloryby, baraszkujące przed dziobem statku. Dla mnie, który właściwie nie znałem takiego morza, przeżycia te pozostaną trwałym wspomnieniem. A jedną z mych najmilszych pamiątek — laurka, którą dostałem na imieniny obchodzone w czasie rejsu, od załogi maszynowej. Namalowana na płótnie żeglarskim, opatrzona pieczęciami, ozdobiona rysunkiem wilka morskiego, zawierająca wiersz, napisany specjalnie dla mnie przez członków załogi. Podobno jestem jedynym posiadaczem takiego dowodu sympatii od „Aurigi".

Notowała:

TERESA WOJCIECHOWSKA

---

ich dziadkowie i ojcowie, nie chce i nie potrafi powrócić do getta murzyńskiego, zaś biali rówieśnicy, z którymi łączy ich wiele, a dzieli tylko kolor skóry, nie przyjmują ich do swego grona. Słusznie zauważył jeden z angielskich działaczy społecznych: „Nie mają (Murzyni) poczucia, że przynależą do jakiejś społeczności. Uczą ich w szkole historii Anglii, ale kiedy zechcą się włączyć do społeczeństwa angielskiego, zostają odtrąceni. Nie widzą dokąd się mają udać. To jest straszne i szkodliwe zarazem".

Wśród młodzieży murzyńskiej rośnie siłą rzeczy poczucie własnej odrębności i budzi się niechęć i nieufność wobec białych.

Jeśli młodzież kolorowa ma pewne wątpliwości co do swej inności, to wątpliwości te rozwieją się ostatecznie, kiedy po ukończeniu szkół zacznie szukać pracy. Wprawdzie ma ten sam start, co młodzież angielska, kończy te same szkoły, jednakże przy otrzymaniu pracy pierwszeństwo mają biali, dla nich są lepsze stanowiska i wyższe płace.

Istnieje jeszcze jeden problem: wzajemne skłonności między młodzieżą różnych ras. Oba społeczeństwa patrzą na obcowanie białej dziewczyny z czarnym chłopcem, lub odwrotnie, z niechęcią a nawet pogardą. Biała dziewczyna przyjaźniąca się z czarnym chłopakiem uważana jest przez swych współplemieńców za osobę lekkich obyczajów. Tego samego zdania zresztą będą o niej również i czarni. Dziewczęta kolorowe unikają białych wielbicieli, żeby nie narażać się na pogardę swego środowiska. Ostracyzm jest więc obustronny. Jednakże czarne dziewczęta posiadające wykształcenie uniwersyteckie bynajmniej nie stronią od towarzystwa białych mężczyzn — małżeństwo z białym stawia je wyżej na drabinie społecznej i chroni przed powrotem do ponurych warunków getta.

Młodzi są bystrymi obserwatorami. Po wstrząsie, jaki przeżyli tracąc swych białych towarzyszy zabaw, potrafią z całą bezstronnością oceniać społeczeństwo, obok którego żyją, a które ich do siebie przyjąć nie chce. Najczęściej dochodzą do wniosku, że Anglicy są hipokrytami. Amerykanie stawiają sprawę jasno: „jesteś czarny, a więc wynoś się". Anglicy nie postępują tak brutalnie, czynią to samo, ale jakby w białych rękawiczkach i, co najciekawsze, bardzo by się zdziwili, gdyby im zarzucono uprzedzenia rasowe.

Bunt Murzynów w Stanach Zjednoczonych otworzył oczy obu stronom. Dla Anglików był to dzwonek alarmowy, który uprzytomnił im, że równość klasowa w ich kraju jest fikcją, że ogół kolorowych obywateli żyje w nędznych warunkach mieszkaniowych, że brak im urządzeń socjalnych, parków, klubów młodzieżowych, ogródków jordanowskich itd., mimo iż liczba dzieci w tych dzielnicach jest znacznie wyższa od przeciętnej. W przeludnionych dzielnicach uragających wszelkim pojęciom o higienie, szerzy się śmiertelność wśród niemowląt, ludzie są niedożywieni, częste są choroby umysłowe. W tych okręgach znajdują schronienie przestępcy, sprzedawcy narkotyków, kwitnie prostytucja. Liczne są tam domy gry, które odwiedza młodzież. Różni wyzyskiwacze żerują na ludności gett murzyńskich, agenci ofiarujący na raty różne artykuły i sprzęty, domokrążni sprzedawcy dostarczający liche towary po wysokich cenach itd.

Rośnie separatyzm. Nawet w barach na Notting Hill biali klienci gromadzą się w jednej sali a czarni w drugiej. Gdy do takiej sali wejdzie osoba o niewłaściwym kolorze skóry, wnet zamierają rozmowy i zapada lodowata cisza.

Wypadki w Stanach Zjednoczonych objawiły kolorowym Brytyjczykom ich własną siłę. Wśród młodzieży zbudziło się zainteresowanie historią kraju, z którego pochodzą. Zabrali się sami do organizowania swego życia, zakładając własne kluby, tworząc instytucje społeczne.

Młodych Murzynów brytyjskich nie zadowala już ani opieka angielskich instytucji społecznych, ani troska rządu, szukającego środków poprawy bytu kolorowych obywateli, aby załagodzić stale rosnący ferment i uniknąć grożącego wybuchu.

Rozbrzmiewa hasło, które można by streścić tak: „nic o nas bez nas". Nowa generacja Murzynów domaga się udziału w obradach i decyzjach dotyczących ich losu. Chce być wysłuchana i domaga się, aby jej głos był wzięty pod uwagę, a żądania zaspokojone. Głosy te rozbrzmiewają nie tylko w getcie Londynu. Te same hasła głoszą Murzyni w Birmingham i Manchester.

Toteż światli Anglicy coraz częściej, energiczniej domagają się od swego rządu, aby śpiesznie podjął stanowcze kroki, zmierzające do radykalnej poprawy sytuacji brytyjskich Murzynów i do rzeczywistego zrównania ich z białymi współobywatelami.

Przyszłość pokaże, czy rząd brytyjski zdobędzie się na stanowcze i rozstrzygające posunięcia, które uniemożliwią wszelką dyskryminację rasową w życiu publicznym i radykalnie poprawią warunki życiowe kolorowych mieszkańców Wysp. Wszelkie bowiem półśrodki nie zadowolą nikogo, ani cichych zwolenników dyskryminacji rasowej, którzy wprowadzone reformy będą uważali za faworyzowanie Murzynów, ani samych Murzynów, których w obecnej fazie nie można zadowolić już byle ochłapem. Statystycy obliczają, że w 1967 r. na 6 absolwentów szkół średnich w Londynie i Birmingham, przypadnie 1 kolorowy.

Rośnie więc potężna siła i już teraz Anglicy muszą zdecydować czy uczynią z Murzynów — lojalnych obywateli, czy też ferment wśród ludności kolorowej będzie stale wzrastał, co doprowadzić może do tragicznych w swych skutkach wydarzeń.

Z. K.

ZYGMUNT FIJAS

SKRZYDEŁKO KURCZĘCIA

Humoreska kulinarno-pouczająca z życia laureatów

1

GONITWA MARZEŃ

Jak manna niebieska spadła na Minimalkiewicza wiadomość o przyznaniu mu powiatowego wyróżnienia za jego działalność twórczą. Zaczął tedy marzyć o spożytkowaniu sumy, jaka spodziewał się z tytułu tego wywyższenia uzyskać. Tak się rozmarzył, że nawet nie mógł zasnąć.

Albowiem owładnęła nim zbyt duża ilość marzeń, a marzenia, chociaż są psychiczną kompensacją różnych naszych życiowych niedostatków i z reguły działają na nas kojąco, to w wypadku gdy nawiedzają naszą wyobraźnię zbyt tłumnie, są wyjątkiem od tej reguły: zamiast działać kojąco, wprawiają nasz system nerwowy w stan tego rozedrgania, w jakie człowieka chorego psychicznie wprawia tak zwana fuga idearum, czyli gonitwa myśli.

— Nareszcie będę mógł kupić sobie elektryczną pralkę — rolł szczęśliwiec. — Moja brudna bielizna oddawana do pralni uspołecznionych bywa niekiedy rozdzierana, a nieraz nie jest zbyt dokładnie wypłukiwana w ciepłej wodzie z powodu nieodpowiedzialnego działania agregatów płuczących, wskutek czego ulega chemicznej korozji. Jeśli więc będę dokonywał przepierek we własnej maszynie, to będę czynił to uważnie i moja bielizna nie będzie ulegać zbyt prędkiemu rozsypywaniu się w proch. Zatem zaoszczędzę produkcji tkanin ten procent, jaki musi być wytwarzany dodatkowo w celu pokrycia ubytków, powstających na skutek niszczącego działania maszyn i rozpuszczalników brudu.

Ale gdy przed oczami Minimalkiewicza mignął obraz pewnego posiadacza pralnicy, porażonego prądem i zmarłego po krótkich, ale wystarczająco silnych katuszach, mimo natychmiast udzielonej mu pomocy: najpierw w postaci rzuconej mu suchej linki, potem suchego kija oraz gumowej wycieraczki — zgodnie z instrukcjami o porażeniach prądem — a następnie, według wskazań medycyny ludowej, wkopania jego ciała w ziemię po szyję, laureat tak się tym obrazem przestraszył, że postanowił kupić przechodzony telewizor.

Dlaczego przechodzony?

Dlatego, bo tańszy od wziętego na raty.

Ale gdy Minimalkiewicz skojarzył telewizor z pewnym seansem telewizyjnym, w czasie którego od ciągłego mrugania ekranu rozbolała go głowa, zaś potem na dobranoc został potraktowany makabryczną bronią rozmiłowanego w sadystycznych okropnościach Hitchcocka, z powodu czego śniło mu się do białego rana, że chciał udusić własne niemowlę i to rękami odzianymi w kolczaste rękawice, przeto postanowił kupić telewizor dopiero na starość. W tym sędziwym okresie żywota, kiedy ilość programów zostanie przemieniona na jakość cena odbiorników godziwie obniżona, o wyborze kanałów będzie decydował telewidz bez niczyjego pośrednictwa, zaś falangi dotychczasowych pionierów telewizji zostaną zastąpione przez fachowców, mniej łasych na prędkie i łatwe efekty.

Począł więc marzyć o kupnie motorowerku.

Ale gdy spojrzał na wiszącą na ścianie fotografię jednego ze swych przyjaciół, poległego nie zasłużona śmiercią na motorowerze w czasie gołoledzi — wraz z dozorcą posypującym jezdnie solą, jego marzenia zwróciły się ku lodówkom.

Niestety i te maszyny rychło zeszły ze sceny jego marzeń. Za dużo kosztowały, zbyt wiele pożerały prądu, zaś w okresach zimowych

mogły być z łatwością zastąpione przez naturalne zimno, dostarczane pokojowi laureata w wystarczającej obfitości przez źle uszczelnione okna.

Zrezygnowany Minimalkiewicz wziął tedy do ręki gazetę zawiadamiającą o przyznaniu mu laury. (W jakiej wysokości, jeszcze nie wiedział, bo suma trzymana była w tajemnicy). Ale gdy jego wzrok — czego przedtem nie widział — padł na wydrukowaną obok wzmiankę o wyróżnieniu, czterołamowa ankietę pod tytułem: „Dlaczego właśnie Minimalkiewicz był najbardziej odpowiedzialnym kandydatem?", bohater naszej humoreski ugryzł się z radości w palec... Osiem tysięcy czytelników oświadczyło jednogłośnie: „Dlatego Minimalkiewicz, bo nie wygląda on na to, aby miał zwyczaj czynienia zabiegów, żeby na pierwsze rzędy się wciskiwać".

A więc ziściły się jego sny o potędze: jego skromna, minimalistyczna postawa życiowa wreszcie została należycie wyczuta i oceniona.

Tak go ten wynik ankiety ucieszył, a może radość pomieszała mu w główce jego ambitne klepki, lub owładnęła nim chwilowa gorączka, obojętne, co mu było: postanowił zdobyć adresy tych mądrych czytelników... zaprosić ich na boisko sportowe i rozdać im wspaniałomyślnie po jednej skromnej bułeczce z flaszką lemoniady.

Rozgrzany tym pomysłem, zadzwonił do swego przyjaciela, Maksymalkiewicza. Człowiek ten był kiedyś kucharzem okrętowym, dyrektorem sklepu z delikatesami, maitre d'hotelem: pobity przez gościa hotelowego stał się inwalidą, obecnie wynajmował się jako specjalista do urządzania uroczystości weselnych, uczt konsolacyjnych i chrzcin. Któż mógł być lepszym powiernikiem w zużyciu laurowych kwot?

Maksymalkiewicz jeszcze nie spał. Bardzo się ucieszył z sukcesu Minimalkiewicza. Ale wysłuchawszy jego projektu, nie omieszkał wyrazić się o nim tak krytycznie: — Przyjął się w Polsce zwyczaj urządzania prywatnych spotkań artystycznych. Spotkań, których organizatorzy rozdają wybranym przez siebie osobom takie mało znaczące dowody uznania, jak — podstawki pod kufle, bibułki do wycierania ust, posrebrzane łyżeczki, zasuszone liście, kasztany. Któż widział naśladować tych małych ludzi? Żyjmy z takim rozmachem, z jakim żyją ci, co nie otrzymują żadnych nagród, a całe ich życie tak im upływa, jakby współczesność była dla nich jednym, nieustającym wyróżnieniem — za to, że w głębi serca na nią plują... A czy zastanowiłeś się, minimódżku, ile cię będą kosztowały znaczki pocztowe do wysłania ośmiu tysięcy zaproszeń na boisko? Ile będziesz musiał zapłacić za osiem tysięcy bułek i flaszek lemoniady?... Kto widział zapraszać taką ilość czytelników z tej przyczyny, że wzięli udział w ankiecie — i dogodzili twej żądzy sławy?... Najlepiej postąpisz, jeśli wydasz wystawny obiad. Wstępuj w ślady tych, co mają obróconą twarz ku górze, nie ku ziemi.

— Czyli chcesz mnie namówić do błahego marnowania czasu, zdrowia i pieniędzy?

— Gdyby wystawne przyjęcia były trwonieniem czasu i pieniędzy, to by od chwil pierwszej naszej niepodległości nie odbyły się w Polsce żadne bankiety. A przecież odbyła się ich niemała ilość. Zaproś mnie do siebie!... Jako człowiek obiatany powiem ci, jak powinno wyglądać przyzwoite, skromne przyjęcie.

— Zatem, Maksymalku, czekam na ciebie — stęknął Minimalkiewicz. Stęknął, albowiem przyzwyczaił się mieć węża w kieszeni, więc bał się wyprowadzenia swej osoby na hedonistyczne bezdroża.

2

JAK MAKSYMALKIEWICZ WYOBRAŻA SOBIE SKROMNE WYSTAWNE PRZYJĘCIE

W chwilę później w mieszkaniu laureata pokazał się potężny, czerwony nos Maksymalkiewicza. A wraz z tym nosem pokazała się jego równie czerwona — choć zakazana gęba.

Były kucharz okrętowy od razu przypuścił szturm z wysokich pozycji: — Przede wszystkim musimy się postarać o rozsuwany stół z twardego drzewa.

— Po co? — zdziwił się Minimalkiewicz. — Czyż ten nowy mój stół z miękkiego drzewa nie jest piękny?

— Na tym kajutowym, segmentowym składaku, co go widzę, poprzestać nie można. Na tym, modnym stojaku na niski połysk można ustawić baniak żuru albo faskę kapusty, nie — kwiaty w doniczkach, albo ciete w żardinierach.

— Co, to są te żardiniery?

— Żardiniery, Pigmeju, są to rżnięte, kryształowe flakony... A teraz skoro załatwiliśmy sprawę stołu, przystępujemy do tartinek.

— Tartinki, ho, ho — ucieszył się Minimalkiewicz. — Czyli butersznyty. Czyli — kanapki. Czyli zagrycha!

— Zagrychą, jołopie, a także butersznytami lub kanapkami, nazywamy tartinki w jadłodajniach. W języku ludzi przyzwoitych „tartinki", a możemy je też nazwać sandwiczami, zależy od tego skąd czerpiemy terminologię — z „Słownika języka polskiego" czy z słownika wyrazów obcych — tartinki są to, pozbawione skórki na tarce, kromeczki bułki angielki lub chleba grysikowego, pieczonego w formie... I ten chleb, i angielki nasz przemysł piekarski wytwarza. Wytwarza je w takiej ilości, że centrale odpadków użytkowych skupują z nich susz do powtórnego przemiału na pasze... Nakładamy na te kromeczki kawior, łososia, sardele, w ostateczności siekane jaja lub śledzie.

Minimalkiewicz podpowiedział: — W ostateczności mogą to być pajdeczki żytniaka, pokryte płatkami polnej cebuli, mrożonych pomidorów i krowiego sera z kminkiem.

— Żałuję, że nagrodzono takie byle co, jak ty. Przecież organizatorzy wyróżnienia już dawno przestali nazywać tartinkami chleb z polną cebulą i krowim serem. Znaj swoje miejsce w świecie!... Skorośmy więc zapchali brzuchy gości tartinkami, możemy podać majonez z łososiem w całości. Do niego sarni comberek... Do comberka możemy podać jarzynki duszone w maśle w koszyczkach z ciasta... Koszyczki te obstawiamy, zgodnie z przepisami dla pierwszej klasy, wokół combra... Ale zanim podamy comberek, musimy się zastanowić w jakim sezonie urządzamy to przyjęcie?

— Co ma do rzeczy sezon?

— To ma do rzeczy, poganie nie chrzczony, że inaczej wygląda przyjęcie jesienne, na którym możemy podać zupę puree ze zwierzyny ubitej w okresie dozwolonym do szlachtowania dzikich zwierząt — i możemy sobie pozwolić na jesienne kalafiory, inny charakter ma przyjęcie zimowe, kiedy świeże szklarniowe kalafiory kosztują drogo, chłodnie państwowe jesz-

cze nie wypuściły mrożonek... Inaczej smakuje gościom zupa z świeżych wiosennych jarzynek, inaczej chłodnik litewski na rosołku z letnich ogórków małosolnych z płatkami świeżej mizerii i młodziutką inspektową botwinką...

Trzeba się dźwigać z pomroki cywilizacyjnej, a nie „wszytki głąby gryźć jako świnia" — jak mówił Mikołaj Rey... Jeśli zaś przyjęcie odbywa się późnym latem to po comberku możemy podać dzikie drobne ptactwo.

— Po ptactwie?

— Po ptactwie, grzdylu, mogą być karczochy, vol-au-vent, fasolka po angielsku; w ostateczności nawet wiosenny bułgarski groszek z puszki... Ale i mrożonki i konserwy to zawracanie głowy. Owoce i jarzyny podczas ich utrwalania tracą swój turgor, kolor i zapach; przyrządzanie biesiad z pomocą tych mumifikacji to przystoi kuchni amerykańskiej, w której kucharz wykłada nogi na stół kuchenny żując równocześnie gumę i paląc cygaro — i w tym samym czasie ugniata ciasto na koszyczki... Maszynowo, a nie indywidualnymi, żywymi palcami.

— Jeśli są to tylko marzenia kulinarne — westchnął Minimalkiewicz — to wiodą nas one w objęcia rozkoszności, a więc hedonizmu. A jak wygląda tańsza wersja przyjęcia? Bardziej przystępna?

— Kto urządza przyjęcia, ten się z kosztami nie liczy — zapienił się Maksymalkiewicz. — Skoro ta wersja ci nie odpowiada, to możemy zarządzić pasztet z gęsich wątróbek ze sklepu drobiarskiego, ewentualnie pieczarki w sosie holenderskim, comberek cielęcy; dalej: kaczkę w cieście, owoce smażone w koszyczkach, przeźroczyste lody moskiewskie, czyli tak zwane moscovites... Do tego jakiś tort, czarna kawę likiery, hawańskie cygara.

3

EPILOG KUSZEŃ MEGALOMANA MAKSYMALKIEWICZA

— Tort możemy zamówić. Cygar kubańskich nie brakuje. Ale co z likierami? — Co do rosolisów, to najlepszy byłby likier dalmatyński, maraskinowy — „Maraschino", lecz tylko z fabryki Zara Gerolama Luzandi. Ponieważ tego napoju nie zdobędziemy, bo ta fabryka zdaje się nie istnieje, dobry mógłby być francuski „Scoubacque" — z malinowych pomarańcz i cytryn. Albo malinowy „Creme de framboises"... Ale krajowe wyroby mogą też wystarczyć. Byle eksportowe!

— Co to wszystko może kosztować?

— Dla pięciu, sześciu osób razem, ze mną: sześć tysięcy jak ulał; jeśli nie więcej.

Minimalkiewicz złapał się za głowę.

— Ale ogromne koszty! Za te pieniądze można kupić motocykl.

— Można. Czemu nie? Można też kupić pralkę z elektrycznym magielkiem i suszarką. Ale motocykle, pralki, lodówki się psują, a pamięć o przyzwoicie spędzonym wieczorze nie psuje się. Wręcz przeciwnie: z każdym rokiem i z każdą naszą biedą zyskuje na swym bukiecie jak wino... Ile gotówki spodziewasz się zachapać?

— Jeszcze nie wiem. Wysokość mego wywyższenia jest trzymana w tajemnicy. Coś bąkają o sumie cztery tysiące złotych.

Nos Maksymalkiewicza z czerwonego stał się siny, jego zakazana gęba stała się z gniewu jeszcze bardziej zakazana.

— Cztery tysiące złotych! — wykrzyknął. — To nie suma, lecz kwota!... Wystarcza ona na takie spartańskie przyjęcie jak dorycka polewka winna „syssytia" na łódzkim sikaczu, lampka mleka prosto od krowy — do pieczonych ziemniaków z popiołu „au pot piół"... Dwa razy większą kwotę otrzymywałem jako kucharz okrętowy. Jeśli na taką kwotkę liczysz, to lepiej będzie, jeśli zamiast ciętych kwiatów w rżniętych żardiniérach, postawisz na stoliczku do gry w damkę... butelkę oberżniętą szpagatem, do tego zwyczajną kiełbasę, ciętą na plasterki!... Ale plasterki ponumerowane, żeby któryś z gości za wiele nie zjadł... Bo przecież musisz sobie zostawić nie co gotówki na czarną godzinę... A przecież nie zaprojektowałem ani „coupe d'anans", ani okrętowego „vol-au-vent de poularde", „sauce d'ecrevisses", ani puszkowych homarków ze strefy wolnocłowej... Zabawny jesteś: ta kwota jest suma dla tych, co ufają toto-lotkowi, na purée ziemniaczane mówią „kłócone ziemniaki" na francuski likier malinowy „creme de framboises"... „malinówa-gołda", na tartinki... „zagrycha"!

To rzekłszy Maksymalkiewicz podał Minimalkiewiczowi tylko jeden palec na pożegnanie, po czym splunąwszy pogardliwie w stronę stołu z miękkiego drzewa na niski połysk, oddalił się z niezmiernie wysokim połyskiem gniewu w oczach.

Minimalkiewicz zostawszy sam, zaczął dalej marzyć: A więc ziściło się to, o czym tylko śnił. Jego nazwisko było tematem ankiety — jest na ustach całego powiatu i województwa!!! Niedawno wydrukowano dwie jego nowelki w słowackim piśmie „Brabori a zemaki" (po polsku: „grule" albo „pyry"), więc cząstkę tytułu do wpisania się w poczet Pen Clubu już ma. Może więc przestać czytać dzieła swych kolegów powiatowych i wojewódzkich; zacząć pochłaniać tylko arcydzieła autorów zagranicznych i nie mieć pojęcia o współczesnych pisarzach — ogólnopolskich i dawnych klasycznych.

Tak go te myśli rozdęły, że gdyby był balonikiem, jego rozdęte ciało ledwo mogłoby się wcisnąć w okno, aby wytrunąć przez nie ponad świat. Z uciechy, zamiast zjeść sześć szprotów, zjadł ich najmniej dwadzieścia; przyrządził sobie herbatę, nie żałując esencji. Zamiast pokarbować angielkę na osiem części z myślą o dniu jutrzejszym, pokarbował ją tylko na cztery. A zresztą czy poziom naszej strawy stąd nowi o naszej wartości?

Cyprian Kamil Norwid zmarł w przytułku, Mozarta pochowano w wspólnym dole, a ich nazwiska więcej znaczą niż nazwisko Kapuścińskiego, który na spotkania z wielbicielami cudzych utworów udaje się nie proszony — i w wypożyczanym samochodzie.

Minimalkiewicz szalał z radości, gdy na przyjęciu wręczono mu pieniężne wyróżnienie, będące równoważnikiem pięciu miesięcznych poborów sprzątaczki. Omal nie umarł z radości, gdy mu poufnie doniesiono, że to przyjęcie dla sześćdziesięciu czterech zaproszonych gości kosztowało siedem razy tyle, co wyróżnienie pieniężne jego osoby. W czasie uczty co prawda zapomniano o istotnym powodzie jej urządzenia, taki panował biesiadniczy rwetes. Ale czy to niepamięć mogła wpłynąć na obniżenie jego wywyższenia, skoro przyjęcie się odbyło? Na pewno nie!

Już w domu, cały czas myśląc o tym, nasz szczęśliwiec wywiercił otwory w czterech jajkach i wypił ich zawartość, z lubością przymykając swe rozjaśnione oczy.

A potem wyjął z papierka przyniesione z biesiady skrzydełko kurczęcia („pieczonego"!), zaczął je powoli — i z jeszcze większą lubością obszczypywać z resztek mięsa.

To był dzień jego chwały — ta uczta! Bezpłatna, ale przynajmniej wspólna! skarbowa! A więc tańsza, a więc bardziej zaszczytna niż wszystkie wymyślne maksymalistyczne zagraniczne „pipers à la mamers" tego megalomana kulinarnego — Maksymalkiewicza.

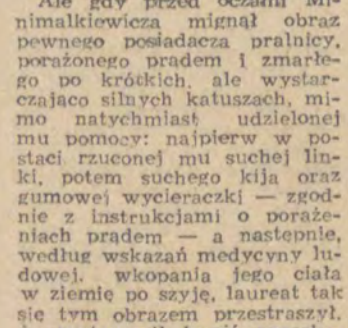

GRIGORIJ PIETNIKOW

tłum. Roman Gorzelski

Słowo o Łodzi północnej

Na polskim jesiennym niebie —
Chmura nici wysnutych,
Ogni, wołających błysków
I topniejąca taśma spleciona
Z szarego dymu:
Milionoczółenna Łódź,
Łódka majestatyczna
Z ceglanych
Czarnosmolonych podwórzy wypływa,
Z surowych przedmieść,
Z domów robotniczych,
Z ładowni,
Po kamiennych korytach alej,
Po kanałach zaułków,
Zakrętami ulic
Obok domów — betonowych przystani —
Srebrny żagiel,
Bezsenny,
Utkany, wzniosiony
Złotem rąk
Polskich włókniarzy.

ROMAN ŁOBODA

Prapremiera w Teatrze Nowym

„BLACHARZ BURMISTRZEM" Ludwika Holberga to sztuka, która wprawdzie nie wywołuje głębszych refleksji, ani nie porusza kluczowych spraw ludzkich, niemniej jednak jest zabawna i gęsto usiana dowcipnymi powiedzonkami.

Teatr Nowy sięgnął do twórczości Holberga, ojca dramaturgii duńskiej, bogacąc w ten sposób swój dorobek prapremier.

Przekład Stanisława Kaszyńskiego znakomicie oddaje jędrność i lapidarność języka duńskiego komediopisarza, uwypuklając równocześnie to, co po bez mała dwustu pięćdziesięciu latach może się nam jeszcze wydawać zabawne. A spraw, które i wtedy, i dziś bywają zabawne, albo „zabawne", niestety czy na szczęście, jest jeszcze wiele.

Jeżeli niestety, to dlatego, że jak dawniej, tak i dziś głupota nie straciła pewności siebie i jak zawsze jest skora do krytykowania i tępienia wszystkiego, czego nie umie pojąć. Najstraszniejsza odmiana „krytycznej" głupoty, to ta, która przyswoiła sobie wiedzę, nie rozumiejąc jej i w swym bezgranicznym braku samokrytycyzmu czuje się powołana do przerabiania innych a niekiedy i świata na swoje podobieństwo. Postawa taka przestaje być zabawna, gdy zdrowy krytycyzm społeczny ulegnie chwilowej niedyspozycji, wówczas dzieją się rzeczy, które historia odnotowuje krwawymi zgłoskami.

Na szczęście waga i miara śmieszności jest coraz bardziej czuła, a wczesny śmiech jest najlepszą szczepionką „przeciwgłupotową".

Nie o głupocie wszakże mówi w swej sztuce Ludwik Holberg. Mówi o człowieku i ludziach, którzy nie posiadając dostatecznej wiedzy czy chociażby orientacji w skomplikowanych mechanizmach administrowania i rządzenia, krytykują te mechanizmy, ba, nie na żarty zamierzają chwycić za ster władzy w swoim mieście.

Holberg napisał dobrotliwą komedię o prostaczkach, którzy „nie mają pojęcia"; ośmiesza ich, ale nie niszczy — ustawia na właściwym im miejscu; bowiem prostaczkowie są pełni dobrej woli, nic w nich z mściwej furii tępienia, w swojej poczciwej pasji społecznikowskiej budzą sympatię i pobłażanie.

Nawet na owe czasy spojrzenie w równym stopniu oklepane, co niedrapieżne. Holberg nie jest tygrysem, nie wyśmiewa możnych, feudalnie a pobłażliwie poklepuje po łopatce maluczkich, robiąc równocześnie perskie oko gdzie trzeba. Nie jest to ani Szekspir umysłu, ani Frycz Modrzewski serca. Nieco wiedzy o człowieku i sporo ostrości pióra demonstruje Holberg w scenie przeobrażania się blacharza, jego małżonki i ich służącego w burmistrza, burmistrzową i majordomusa władzy.

Tyle pazura, którego ostrości nie stępił a potwierdził czas.

Nie jest to więc rzecz śmieszna o ponurej głupocie, ani nawet rzecz wesoła o megalomanii prostaczków. Wydaje mi się, że czas gdzieś z niezamierzonych głębi tej beztroskiej komedii wydobył moralitet.

Czy warto było dla tych paru błysków ku współczesności wystawiać „Blacharza"?

Jest w tej sztuce rubaszna bujność, językowa i obyczajowa, którą zarówno gestem jak i słowem reżyseria Januszą Kłosińskiego sprawnie oddała. Bardzo krwistej postaci blacharza, który na krótko stał się burmistrzem, Janusz Kłosiński — aktor nie odbarwił anemią. Metamorfoza jego żony Geski w wykonaniu Ewy Zdzieszyńskiej niezwykle plastyczna, do czego niewątpliwie przyczynił się Henri Poulain, autor dowcipnej i niebanalnej scenografii.

I jeszcze odwieczny duch Machiavellego w kieszonkowym wydaniu, który snuje się po wszystkich gabinetach, kuluarach, wiecach, zjazdach, hotelach i spółdzielniach — to Henryk, służący blacharza. **Bogusław Sochnacki** trafnie odnajduje w sobie cechy charakterystyczne przedstawianej postaci. Ma słuch.

Niedoszli rajcowie czyli rzemieślnicy: Gert Kuśnierz — **Bohdan Mikuć**; Franciszek Perukarz — **Franciszek Trzeciak**, Siebert Zdun — **Bolesław Nowak**, Ryszard Szczotkarz — **Ryszard Stogowski** i Jens Oberżysta — **Jan Rudnicki**, poradzili sobie dobrze. Sanderus i Abrahams (rzekomi rajcowie) w wykonaniu **Jana Zdrojewskiego** i **Adama Danie wicza** zgrabnie zaprezentowali wyższe sfery owych czasów.

Engelke, blacharzówne zagrała **Aleksandra Krasoń** a kuchtę **Maria Białobrzeska**.

Świetnie reagowała na maniery blacharzowej **Wanda Jakubińska** jako Pani Rajczyni. Pani Abrahamsens i Pani Sanderus to były **Celina Klimczak** i **Izabella Pieńkowska** — miłe i wdzięczne białogłowy dwieście czterdzieści pięć lat temu.

„Blacharz burmistrzem" Ludwika Holberga, Teatr Nowy, Reżyseria: Janusz Kłosiński; scenografia: Henri Poulain.

Spektakle tygodnia

NOWY	„Świerszcz za kominem", 4 spektakle	1 600 —	60%
	„Śluby panieńskie", 2 spektakle	1400 —	100%
NOWY (Mała Sala)	„Skiz", 4 spektakle	600 —	75%
POWSZECHNY	„Noc spowiedzi", 4 spektakle	2450 —	91%
	„Klub kawalerów", 1 spektakl	668 —	100%
	„Mocne uderzenie!", 1 spektakl	590 —	88%
JARACZA 7.15	„Paryżanin", 3 spektakle	1266 —	100%
	„Ogniem i mieczem", 4 spektakle	2480 —	95%
TEATR WIELKI	„Halka", 1 spektakl	970 —	80%
	„Książ Igor", 2 spektakle	1160 —	90%
	„Rigoletto", 1 spektakl	870 —	80%
	„Pan Twardowski", 1 spektakl	1276 —	100%
	„Straszny Dwór", 1 spektakl	1276 —	100%
OPERETKA	„Domek trzech dziewcząt", 6 spektakli	4682 —	70%
FILHARMONIA	2 koncerty symfoniczne	1400 —	90%
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ	„Ktoś nowy", 6 spektakli	735 —	44%
	„Kamerdyner", 5 spektakli	1169 —	41%

DROGI CZYTELNIKU! Redakcja prosi Cię o wyrażenie opinii o „ODGŁOSACH". W naszej ankiecie zaznacz znakiem plus (+) działy, które Cię interesują, i które uważasz za dobrze redagowane. Znakiem minus (—) zaznacz te działy, które oceniasz negatywnie.

Prosimy Cię również o inne uwagi o naszym piśmie.

Każda nadesłana ankieta weźmie udział w comiesięcznym losowaniu cennych nagród książkowych a redakcji pomoże w lepszym zrozumieniu potrzeb czytelniczych Łodzi i regionu łódzkiego.

Wypełnione ankiety prosimy nadsyłać do redakcji „Odgłosów", na adres: Łódź, ulica Piotrkowska 96.

	+	—
rozmowy wywiady		
sprawy międzynarodowe		
zagadnienia ekonomiczne		
problemy obyczajowe		
reportaże		
opowiadania i fragmenty powieści		
poezja		
recenzje książkowe teatralne		
film i TV		
felietony		

O czym jeszcze chciałbyś czytać w „Odgłosach"?

Nazwisko i imię . . . . . .

wiek . . . . . .

zawód . . . . . .

adres . . . . . .

Tele-obiektyw

Mój głos w ankiecie

Na marginesie nadanej przez Łódzki Ośrodek Telewizyjny adaptacji „Ziemi obiecanej" W. St. Reymonta kreślę parę ogólnych refleksji.

Często spotkać się można w kraju z pochlebną opinią, że spektakle Teatru Telewizji Łódzkiej są najlepsze. Usłyszeć to nadarzy się nawet i w Warszawie. Oczywiście nie ze strony oficjalnej krytyki. Ta zawsze więcej uwagi poświęci widowisku telewizyjnemu, w którym obsadzony jest Holoubek, choćby nawet tak nie udanemu jak „Antygona".

Łódź nie ma Holoubka, Świderskiego, Łomnickiego, Fijewskiego, ani Mikołajskiej. W Warszawie, nie w Łodzi reżyseruje Hanuszkiewicz, Antczak, Gruza. Jak więc wytłumaczyć dobrą sławę łódzkich spektakli? Gdzie kryją się źródła sukcesów?

Odpowiedź nie jest łatwa, a w każdym razie nie da się jej zredukować do jednego zdania. Trzeba nawet sięgnąć trochę do historii. Tak, bo jedenaście lat istnienia ŁOT to już historia, pełna pionierskich zmagań i gromadzenia doświadczeń.

Zaczęło się od zabawy w kruczki techniczne i sprawdzania możliwości tkwiących w kamerach i w mikserskiej konsolecie. Młodzi ludzie, którzy zaczynali tu pracować, uczyli się na własnych błędach. Nie było mocnych, każdy zaczynał od punktu zerowego. W programie szło mnóstwo „kiksów", ale na szczęście i publiczność była natenczas wyrozumiała. A raczej sama uczyła się dopiero patrzeć na telewizję i nie bardzo wiedziała za co chwalić, a za co ganić niewypierzoną Muzę.

W ten to sposób w miarę upływu lat dojrzewał w łódzkiej telewizji zespół ludzi, którzy coraz lepiej radził sobie z elektroniczną aparaturą i coraz skuteczniej przetwarzał jej mechaniczną wydolność w artystyczne formy obrazowe. Trzeba szczególnie podkreślić, że to krzepł cały zespół, nie pojedyńczy ludzie.

Taka już jest specyfika warsztatu telewizyjnego, że zadania artystyczne atakować można tylko „kupą, mości panowie", nigdy w pojedynkę. Wszystko bowiem bilansuje się w ostatecznym efekcie ekranowym...

...i sprawność techniczna aparatury...

...i... opanowanie ciężkiej kamery, by w jej ruchach i najazdach nie gubić ostrości obrazu i zatrzymywać się na właściwie zakomponowanym kadrze...

...i umiejętność wykorzystania dziesiątków reflektorów dla kształtowania plastyki obrazu, wydobywania lub zacierania kontrastu...

...i odpowiednie operowanie dźwiękiem, płynącym z magnetofonów i innych źródeł, nasilanie go i wyciszanie w ścisłej synchronizacji z akcją widowiska...

...i zgodne ze scenariuszem mieszanie obrazów z poszczególnych kamer i telekina...

Wymieniłem tylko niektóre, najważniejsze funkcje realizatorskie w telewizji. A przecież widowisko zależy w pewnym stopniu i od asystenta operatora, który nie dopuszcza do splątania się kabli w studio oraz pomaga operatorowi w ruchu kamery, od brygady sceny, rekwizytora i od inspicjenta, który czuwa nad sprawnym przebiegiem całości. Z pewnością i na tym lista się nie kończy. Przy czym świadomie nie wymieniam licznego zespołu technicznego, doglądającego aparatury, a tą drogą również mającego wpływ na bardziej lub mniej udany przebieg widowiska.

W miarę opanowywania warsztatu rosły w Telewizji Łódzkiej ambicje. A te najlepsze wiązały się z premierami teatru telewizji. W sukurs realizatorom telewizyjnym przyszło aktorstwo łódzkie. Praca aktora w telewizji w małym tylko stopniu pokrywa się z jego doświadczeniami na scenie. Gra do martwego obiektywu, bez sprawdzania się w reakcjach publiczności, bez śmiechów, szmerów i oklasków.

Powtarzam jednak, że aktorstwo łódzkie wsparło telewizję i z tego sojuszu zrodziły się liczne znakomite wręcz spektakle, które głęboko zapadły w pamięć telewidzów. Koledzy z telewizji nie będą mieli mi za złe, jeśli zdradzę główną tajemnicę ich sukcesów.

Otóż dzień, w którym z Łodzi nadawany jest telewizyjny spektakl teatralny, jest w studio przy ul. Sienkiewicza prawdziwym świętem. Giną gdzieś drobne animozje i kontrowersje. Pozostaje jeden wspólny cel, którym żyje tu każdy od stolarza do reżysera. Widowisko przygotowuje się parę tygodni, ostatnie dni przed terminem emisji trwają wielogodzinne, wyczerpujące próby. W tym czasie napięcie wzmaga się i osiąga szczyt w momencie, gdy w eter idzie sygnał „Przyśniczki", a spiker zapowiada premierę **Teatru Telewizji Łódzkiej**.

Nie znam na tyle stosunków w Ośrodku Warszawskim, by twierdzić, że tam rzecz nie przebiega podobnie. Jednak fakt, że Warszawa nadaje po kilka aktorskich widowisk tygodniowo, że realizatorzy przy konsolecie zmieniają się jak dyżurni dyspozytorzy w wielkiej fabryce, musi wpływać na atmosferę.

Może więc dobrze = powiem paradoks — że ŁOT tak rzadko wchodzi na antenę z premierami teatralnymi. Może właśnie ten niedosyt, na który się uskarża, nie pozwala wychłodnąć zapałowi. Może właśnie dlatego w rzadkie dni świąteczne realizatorzy i aktorzy wychodzą ze skóry, by dać z siebie maksimum.

By zakończyć deklaracją, ja sam cenię sobie wysoko spektakle Teatru Telewizji Łódzkiej i to jest mój głos w konkursie ankiecie pod hasłem „Oceniamy łódzkie programy telewizyjne."

Władysław Orłowski

P.S. Do udziału w losowaniu nagród nie pretenduję.

W. O.

JAN KOPROWSKI

Czy tylko legenda?

Na skrzydełku obwoluty do książki Gertrudy Stein „Autobiografia Alicji B. Toklas" czytamy między innymi: „...to nie tylko urocza gawęda, ewokująca w niezrównany sposób atmosferę Paryża z lat poprzedzających wybuch I wojny światowej — to także świetne dzieło pamiętnikarskie, oryginalne i wnikliwe". Zachęcony taką rekomendacją, zabrałem się żwawo do czytania. Jest to, jakby nie było, pierwsza w języku polskim pozycja głośnej, ba! legendarnej pisarki amerykańskiej, która zmarła w 1946 roku. Bardzo lubię autobiografie i wszelkiego rodzaju pamiętniki. Dają one wgląd nie tylko w życie osobiste twórców, lecz także w klimat epoki, przybliżając ku nam ludzi i wydarzenia. „Autobiografię Alicji B. Toklas" próbowałem kiedyś czytać po angielsku, ale że za mało znam ten język — nie wyniosłem większego pożytku z lektury.

Po przeczytaniu teraz wersji polskiej nie mogę podzielić zachwytu, wydrukowanego na skrzydełku obwoluty. I wcale się nie dziwię, że gdy książka ta ukazała się w Ameryce a później we Francji, wielu opisanych przez Gertrudę Stein ludzi wystąpiło z zastrzeżeniami i protestami. Malarz Braque stwierdził, że autorka nie ma pojęcia o kubizmie, Tristan Tzara odmawia jej wręcz jakiejkolwiek znajomości sztuki, a Matisse nie posiada się z oburzenia, że Gertruda Stein spostrzegła u jego żony jedynie wydłużoną końską twarz. Otóż trzeba przyznać, że wszyscy oni mieli rację. Gertruda Stein nie wychodzi w swojej autobiografii poza konstatacje faktów i ich opis zewnętrzny. Pisze, na przykład, wiele o Picassie, ale są to przeważnie mało istotne informacje, jak wyglądały jego kolejne żony, w której kawiarni można go było spotkać i co lubił jeść i pić. Natomiast ani słowa o jego sztuce, jego poglądach, nie wiemy jaki Picasso był w rozmowie i co szczególnie go pasjonowało. A jeśli nawet tu i ówdzie próbuje autorka powiedzieć coś o jego sztuce, są to najczęściej powierzchowne komunały. W Paryżu, w którym Gertruda Stein spędziła czterdzieści lat swojego życia, spotykała się ona z Hemingwayem. Ale nie zdołała przekazać nam niczego istotnego o tym pisarzu. Przeciwnie: potrafiła jedynie ograniczyć się do banialuków. Toteż po ukazaniu się „Autobiografii Alicji B. Toklas", Hemingway zerwał z autorką, dostrzegającą drobiazgi i głupstewka, a nie widzącą rzeczy najważniejszych. Trzy czwarte „Autobiografii Alicji B. Toklas" dzieje się w Paryżu, ale rzecz dziwna: my tego Paryża nie widzimy. Znamy nazwy jego ulic, placów, kawiarni, lecz nie widzimy miasta, nie widzimy ludzi. Odnosi się wrażenie, że Gertruda Stein nie posiadała wyobraźni i zdolności postrzegania. Nie potrafiła opisać tego, co widziała. Opisać w ten sposób, abyśmy mogli to ujrzeć dokładnie tak samo jak ona. Czytałem niedawno wspomnienia Erenburga, który, jak wiadomo, także niemało lat spędził w stolicy Francji. Jakże plastyczny jest Paryż pod jego piórem! Chce się chodzić razem z nim po mieście, patrzeć na malowniczy pejzaż uliczny, zaglądać do kawiarni i sklepów. Ma się ochotę rozmawiać z ludźmi, z którymi dyskutuje Erenburg. U Gertrudy Stein nie ma się ochoty rozmawiać z nikim. Bo Gertruda Stein nazywa, ale nie przedstawia, opisuje, ale nie jest w stanie pokazać.

Można by sądzić, że pisarka świadomie ograniczyła się do opisu zewnętrznego zachowań ludzkich, nie wnikając głębiej w pobudki ich postępowania i niewiele troszcząc się o ich życie wewnętrzne. Opowiada przecież nie ona sama, lecz podstawiona przez nią narratorka — Alicja B. Toklas. Ale owa narratorka nie jest nieopierzona gąska. To osoba dorosła i światła, jeździ wszędzie z Gertrudą Stein, dotrzymuje jej kroku, jest z nią za pan brat. Nie może więc być mowy o tzw. chwycie literackim, polegającym na tym, że narrator widzi świat i ludzi naiwnie, prostodusznie. Raczej mamy tu do czynienia z nieporozumieniem artystycznym czyli z założeniem, które nie wytrzymało próby i okazało się po prostu niewypałem. Żeby nie być gołosłownym — parę przykładów. Autorka opisuje m. in. swój wyjazd do Anglii. Z opisu tego nie możemy się absolutnie dowiedzieć niczego o życiu ówczesnego Londynu, o nastrojach i tendencjach artystycznych i społecznych, o tym, co nas naprawdę interesuje. A czego się dowiadujemy? Otóż dowiadujemy się: „W Londynie bawiliśmy się doskonale" (str. 238), „bawiliśmy się doskonale" (str. 239), „bawiliśmy się doskonale" (str. 241), „miała szalenie sympatyczny głos" (str. 242), „bawiłyśmy się tam doskonale" (str. 242), „szalenie lubiłam jej opowiadania" (str. 243), „szalenie lubię hafty" (str. 243), „było szalenie miło" (str. 244), „powiedziałam szalenie zaintrygowana" (str. 245), „zapytałam szalenie podniecona" (str. 245), „cieszyła się szalonym powodzeniem" (str. 247), „byłyśmy wszystkie szalenie zadowolone" (str. 247), „byłaby to szalenie zabawna i lukratywna kariera" (str. 247), „wszystko to było szalenie gwałtowne" (str. 255), „był szalenie zdumiony" (str. 255), „szalenie byłam zadowolona, że udało mi się to przeprowadzić" (str. 257).

W ten szalenie odkrywczy i szalenie wynalazczy sposób napisana jest prawie cała książka. Napisała ją Gertruda Stein, opromieniona wielką legendą. Czy nie jest to tylko legenda? Oczywiście, Gertruda Stein posiada w swoim dorobku wiele innych, nie znanych jeszcze w Polsce książek. Napisała, na przykład, sztukę, w której najzabawniejszy jest tytuł „Trzej biskupi w czterech aktach". Znane powiedzenie Kartezjusza „Cogito, ergo sum" (Myślę, więc jestem) sparafrazowała w sposób następujący: „Jestem, albowiem mój piesek poznaje mnie". Napisała również książkę o tym, jak należy pisać. Jedno jest tylko zastanawiające: dlaczego Hemingway, który był znacznie gorszym pisarzem, niż Gertruda Stein, wciąż jest czytany, wciąż toczą się o niego boje, wciąż jest i legenda i rzeczywistą wartością? Nie mogę jednak zakończyć tych uwag, nie podniósłszy zasług tłumaczki, Miry Michałowskiej która nie tylko zrobiła wiele, aby utrafić w specyficzny styl Gertrudy Stein, lecz ponadto zaopatrzyła książkę w instruktywny wstęp. Chwała jej za to.

Gertruda Stein: „Autobiografia Alicji B. Toklas", Czytelnik, 1967 r., str. 445, cena: zł 24.

Szanowny Panie Redaktorze

Ponieważ otwarto 1 października w Muzeum Narodowym w Warszawie wielką wystawę fresków z Faras — bo to II-ga Międzynarodowa Kampania Muzealna się rozpoczyna — nie wytrzymałem, wsiadłem w pociąg i pojechałem do stolicy.

Ale nie od razu poszedłem do czcigodnego Muzeum. Przedtem zajrzałem na Plac Konstytucji, gdzie w Galerii MDM wystawiają obrazy na cześć 50-lecia Rewolucji Październikowej. Trzeba przyznać z dumą, Panie Redaktorze, że NASI, to jest panowie i panie: Liberski, Rózga, Garboliński, Skrobiński, Krawczyk, Szajdzińska i Mackiewicz bardzo silnie wybijają się z reszty wystawiających — chociaż tam nazwiska nie byle jakie. I gdy oglądałem obrazy łodzian przyszło mi na myśl trzy R, — Robotniczy Realizm Rewolucyjny. Bo zaraz widać, że to z miasta o rewolucyjnych tradycjach.

Potem pojechałem do Domu Artysty Plastyka na Mazowiecką, gdzie w ślicznym pawilonie wystawienniczym na parterze wisiało dużo, równo rozmieszczonych obrazów pani Lucyny Krakowskiej. Obrazy były zielone, żółte, brązowe, czerwone lub w jeszcze innych kolorach; — wszystkie były pomalowane w rozmazane plamy, które wyszłyby na ścianę gdyby nie ramki. Przypominały materiał na suknie dla pań w nieokreślone kwiatowe wzory i nosiły cztery tylko nazwy: „wiosna, lato, jesień, zima" z odpowiednim numerem i datą. Obrazy zachęciły mnie do dalszego zwiedzania i poszedłem na górę. Tam wystawił swoje rysunki i ilustracje rzabione tuszem, gwaszem lub ołówkiem pan Andrzej Kurkowski.

Ale bez obrazy, Panie Redaktorze, czym prędzej zbiegłem do podziemi, gdzie w podkowę wisiało trochę ponurych szaroczarnych obrazów pana Jack'a Gartioux. Początkowo myślałem, że to kawałki spatynowanej cynowej blachy poumieszczano w ramach — bo takie to było szaro-czarno-srebrne — a pachniało werniksami i olejnymi pieprznymi zaprawkami, aż w nosie wierciło.

— Owszem — nie można powiedzieć — zapach był interesujący i rześki. Ale mi bardzo przykro, że nie mogę tego samego powiedzieć o wizualnej stronie obrazów, mimo, że zalecała się wytworną fakturą, powieszona tuż pod światłami, aby grubość malowania była widoczna. I z tego ponurego kolorytu obrazów zrobiło mi się bardzo smutno i bardzo prędko wyszedłem na dwór. A tu deszcz leje jak z cebra — więc chyłkiem pod ścianą wpadłem zaraz do maleńkiego Muzeum Etnograficznego, które jest tuż za domem Artysty Plastyka. Gdy otrzepałem się z deszczu, zobaczyłem już z daleka małe ikony wiszące na ścianach, i zaraz mnie tam pociągnęło i nie wkładając nawet kapci zacząłem oglądanie.

— Ikony były prymitywne, na deskach, malowane w śmieszny, naiwny i urzekający sposób: — takie infantylne obrazki chwytające za serce. Na plakacie obok było napisane: „Ikona w Polsce i jej przeobrażenia", — i była także z tyłu mapka, a na niej Rybotycze — małe miasteczko gdzieś w okolicach Wisłoka i Sanu. W katalogu było napisane, że w małych Rybotyczach w XVII i XVIII wieku była prowincjonalna szkoła ikon promieniująca na parę powiatów: — ikony ruskopolskie, naiwne i rozczulające dziecinną prostotą. Pobyłem tam trochę, bo przypomniały mi się zaraz lalki w teatrzyku i szopka i jasełkowe widowisko i Piękna Madonna schylająca się nad twoim dzieciństwem i współczujące anioły, które uspokajają twoje wzburzone myśli. Bardzo to było miłe, ale zaraz musiałem wyskoczyć, bo czas galopował jak szatan — a musiałem jeszcze to i owo zobaczyć. Więc — jak się rzekło — wyskoczyłem na ulicę — a tu już słoneczko zza deszczu wesoło mruga i wnet pobiegłem do Zachęty. Ale w Zachęcie nic nie było do oglądania, bo akurat zmiana wystawy się odbywała. Wobec tego poszedłem do Teatru Wielkiego, gdzie w bocznej salce jest Galeria Współczesna, którą zarządza pan Bogucki.

Tu znowu na ścianach i przepierzeniach wisiały pastelowe kolorowe zygzaki, kreski i plamy — bardzo ładne; — i naklejane na białe płótno piórka, wysuszone liście, trawki; łodygi różnych roślin i różne takie rzeczy.

Niektóre były nalepiane na białym, niektóre na czarnym płótnie. I nastrój zrobił się od razu roślinny — zupełnie jak w zielniku. Obrazy nazywały się: „W upale dyszą wiolonczele", albo „Cisza lasu i moja cisza", albo „Mów mi o człowieku" i tym podobne. Wystawka była nieduża ale gustowna. Był także pokazany w gablotce „Słownik malarstwa abstrakcyjnego", gdzie pan Michel Seuphor zaraz pod literą H napisał całą stroniczkę o panu Georges van Haardt — bo tak się nazywał autor wystawy.

Okazało się przy tym, że Pan Haardt pochodzi z Poznania i przedtem nazywał się Jerzy Brodnicki. Bardzo się ucieszyłem, że jeszcze jeden Polak ma coś w sztuce nowoczesnej do powiedzenia. Bardzo ta wystawa była pogodna i dla lepszej orientacji podaję wyjątek z katalogu pana Boguckiego, objaśniający twórczość wystawiającego autora:

„W rozważaniach tych akcentem dominującym wydaje się przekonanie o wartości autonomicznej form malarskich, które wiążą się z sobą nie podlegając żadnym wymiernym regułom, nie wyrażając żadnych umownie związanych z nimi treści, nie służą przedstawianiu czegokolwiek, lecz tylko powstawaniu malarstwa, które nie wyraża niczego, lecz istnieje samo w sobie jako szczególna emanacja ludzkiego umysłu i nawarstwionych w nim doświadczeń życia".

Gdy przeczyta się to objaśnienie parę razy, Panie Redaktorze, wszystko od razu staje się jasne.

Ale trzeba było pędzić, bo te freski z Faras nie dawały mi spokoju — a dzień przecież teraz nie jest taki długi.

Przedtem jednak dopadłem taksówki, aby było prędzej i kazałem się wieźć na Foksal, gdzie podobno happeningi, dziwne rzeczy i szyk na dwudziesty pierwszy wiek!

I rzeczywiście — zaraz przed wejściem stał na rozkraczonych nogach leżący kloc z rusztowaniem u góry, mający na płaskim tyle czerwono-biały znak lotniczy. To zrobił pan Bereś. A w środku w maleńkiej salce były bardzo tajemnicze rzeczy: fioletowe trójkąty na ścianach, malowane w białe języczki, leżący na ziemi graniasty, polakierowany na czarno kawałek drewna z doczepionym długim drutem zwiniętym w spiralę, tak, że trzeba było dobrze uważać aby nie złapać się w te sidła; na innej ścianie malowane okrągłe i kwadratowe znaki pana Fijałkowskiego z Łodzi, obok coś wiszącego także z drutem tylko krótkim, dalej po przekątnej przenikające się dwa blejtramy pana Gostomskiego, jeszcze trochę innych rzeczy, które nie tak bardzo rzucały się w oczy.

A na pierwszym planie blejtram obciągnięty białym płótnem; na płótnie nalepiony rozpruty stary parasol z pobieloną rączką w dół, kierujący się ku prymitywnie namalowanej leżącej postaci ludzkiej. To była kompozycja pana Kantora z Krakowa. Rzecz nie miała tytułu tylko nazwisko autora; — podobnie jak wszystkie eksponaty na tej wystawie. Nad tym, na pionowym przepierzeniu wisiały zdjęcia z odbytego happeningu w styczniu bieżącego roku; to było niesienie 14-metrowej długości listu z płótna przez ulice Warszawy. i kończącego się na ulicy Foksal, właśnie w tym lokalu. To wymyślił też pan Kantor. — Ale zaraz przyszło mi na myśl, że pan Salwadore Dali na początku naszego wieku w Paryżu, pewnego pięknego dnia przed świtem powkładał na rogach paru ulic parometrowe bochenki chleba — aby ludzie się dziwili. Paryż od tego się nie przewrócił i myślę, że Warszawie tyż nic się nie stanie.

— No, ależ to zawsze interesujące, że i w naszej Polszcze dzieją się rzeczy europejskie i ciekawe. Obok były także fotografie z happeningu morskiego — tyż niezłe — jakiś pan we fraku na podwyższeniu dyrygował morskim falom, a publika w leżakach przyglądała się temu z brzegu.

Pochodziłem po tym pokoiku tam i z powrotem i bardzo żałowałem, że ten happo był taki kameralny.

— Gdyby go powiększyć do rozmiaru Pałacu Kultury! — to byłoby co oglądać, Panie Redaktorze. A tu skutkiem małych rozmiarów ginie prawie niezauważony zacny kawał historii sztuki.

— Potem, aby się trochę przewietrzyć po tych dusznych, wystawowych salkach — bo jak dotąd jeszcze happu z wentylatorem nie zrobili — przeszedłem się na piechotkę Alejami Jerozolimskimi aż do Muzeum Narodowego, gdzie pan prof. Michałowski przywiózł takie wspaniałości aż z dalekiego Egiptu.

— Ale tyle tego jest do obejrzenia, że trzeba zacząć po kolei.

Na początku wiszą wielkie plansze, na których uwidoczniono mapy, plany, przekroje poprzeczne i podłużne katedry w Faras; pod planszami rysunki, odciski z kamiennych inskrypcji i detale przerysowane z płaskorzeźb; dalej wydawnictwa, czasopisma i książki w różnych językach na temat odkrycia.

— To wydarzenie światowe — nie tylko archeologiczne, ale i objawienie wielkiej rangi artystycznej!

I tutaj kapelusze z głów panowie! Bo ta wielka rzecz wydarzyła się w 707 roku naszej ery, czyli ma równo 1260 lat!

— Dużo czasu zabiera odczytywanie przekrojów i informacji co do położenia i usytuowania katedry — tak długo, że siłą woli powstrzymujesz się tylko, aby doczytać do końca i nie popędzić w głąb Muzeum do fresków. Wreszcie się z tym uporałeś, połowę wiadomości oczywiście zjadłeś — i oto już stoisz przed dwiema kolumnami z różowego piaskowca, przed wielkim fragmentem fresku umieszczonym między nimi. Podziwiasz czystość i logikę rysunku, linearne rytmy wyrażające szaty i monumentalne proporcje. A obok leżą części kolumn, progów, nadproży, gzymsów, kapiteli, framug ze świątyni; — bogato rzeźbione z różowego i czerwonego piaskowca. Ba! — są nawet wśród nich typowo egipskie pozostałości z poprzedniej świątyni, na której

katedra w Faras została zbudowana.

Dużo tego — tak dużo, że w końcu omiatasz je tylko wzrokiem i przechodzisz do następnej sali, gdzie ogromne już freski, aż do sufitu pysznią się szlachetnym zestawieniem barw ciepłych brązów, złamanych czerwieni, żółci, czerni i szarości. Freski są spreparowane w pieczołowity i mistrzowski sposób; — i rzędem patrzą na ciebie Wielkie Bogurodzice, Anny, Mikołaje, Piotry, Pawły, Młodziankowie, Trzej Królowie, Biskupi i Archanioły, a pod nimi ułomki rzeźbionego kamienia, stele pokryte koptyjskimi napisami rozkładają się rzędem i biegną z sali do sali — oprowadzając cię niejako po wystawie.

— A wystawa jest świetna, wspaniale urządzona, starannie przygotowana: — pracowały nad nią czułe i mistrzowskie ręce.

Jeżeli myślisz, że zdołasz ją obejrzeć na jeden raz — to grubo się mylisz. Musisz tu przyjść jeszcze, aby połknąć i strawić te wspaniałości.

I na końcu cały dokładny na planszach opis jak malowidła zdejmowano z murów, preparowano, nalepiano na podłoże, zabezpieczano, montowano, transportowano i opracowano ostatecznie w laboratoriach Muzeum.

Zaiste — praca to niezwykła i gigantyczna.

I sugestia tego malarstwa ściennego sprzed dwunastu wieków jest tak potężna, że śmieszne i bez znaczenia są współczesne pojęcia jak: stare i nowe.

— Musisz wyjść, odpocząć — bo natłok wrażeń jest tak wielki, że już po godzinie oglądania wszystko ci się w głowie kręci i percepcja absolutnie wysiada.

— Gdy odpoczniesz, wrócisz tu jutro, pojutrze i jeszcze i jeszcze — aż do skutku — aż te freski staną się twoją własnością.

* * *

A potem, Panie Redaktorze, aby sobie trochę poukładać to wszystko i pomyśleć poszedłem do Łazienek i usiadłem wreszcie na ławce.

— Pani Jesień chodziła między drzewami i zamiatała alejki żółtymi liśćmi i wilgotne, brązowe kasztany puszczała na ziemię. Zza szurpatych pni wyglądały maleńkie, zabawne Madonny i malowane Mikołaje wychylały się spod konarów; mrugały porozumiewawczo i ruszały siwymi bródkami. I dzielne Jurije na białych konikach ganiały smoki, przybijając je do kory. A górą nad czubami kasztanów szły nie kończące się freski o wielkich oczach; — szły i szły aż do samego zmroku.

— A gdy wieczorem wsiadałem do pociągu, wsiadły razem ze mną i przyjechały do Łodzi.

Łączę wyrazy szacunku

WACŁAW KONDEK

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Dziś tylko o bajkach, bo bajki są podobno dla wszystkich od lat czterech do stu. Dla wszystkich jest również kino, a więc mariaż filmu ze światem bajek i baśni jest czymś zdawałoby się zupełnie naturalnym. I rzeczywiście, kino karmi nas bajkami, są one jednak w większości wytworem jego własnych zaprzedwie. Ludzie szukają w kinie fikcji i znajdują ją nie tylko w świecie baśniowych atrybutów. Losy Kopciuszka są na przykład powielane na ekranie w nieskończoność i ich dziejami wzruszają się niekoniecznie dzieci. A właściwie to przyznać trzeba, że więcej szczęścia do bajek mają w kinie nie dzieci a dorośli. Właśnie im opowiada ekran bajki prawie już od stulecia, opowiada je tak sprawnie, że każe nawet w nie wierzyć, siła sugestii jest bowiem ogromna.

A nasze dziatki? Nie wzruszą je jeszcze losy uroczej [illegible], która w końcu wspaniałym cadillackiem swego chlebodawcy zajedzie przed ślubny ołtarz, a losy „prawdziwego" Kopciuszka, który wybierał ziarnka maku spośród piasku opowiada im się tak rzadko. Kochał dziatki czarodziej Disney, ale go już nie ma i więcej im już nic nie opowie. Opowiadali też dzieciom piękne bajki i baśnie Rosjanie. Nasi mistrzowie kamery też próbowali, większych niestety sukcesów, jak wiadomo, nie odnieśli.

A dzieci czekają dalej i dziwnie nie mają przekonania do nowych poszukiwań plastycznych naszych artystów, wolą tradycyjną kukiełkę, disneyowski rysunek czy żywego aktora, jego przede wszystkim. Toteż każda „prawdziwa" baśń i bajka na ekranie winna być odnotowana w kalendarzyku dorosłych dla użytku własnego i własnych dziatek.

Bogaci w „bajkowe" tradycje Rosjanie proponują nam swój nowy film. Jest nim **„NAJAZD CZARNEGO KSIĘCIA"** w reżyserii W. Byczkowa.

Nie chciałabym być złym prorokiem, ale boję się, że dziecięca widownia znów nie jest najlepszym adresatem dla tego filmu. Filmowi, choć brzmi to paradoksalnie, zaszkodził chyba przerost ambicji. Odbiorcy dorosłemu nasuwa się myśl, iż zamierzeniem twórców było nie tyle opowiedzenie baśni, ile ilustracyjne przedstawienie tego jak dorośli wyobrażają sobie świat baśni.

Jeśli baśń to kolorowa, jeśli kolor to bardzo jaskrawy, jeśli wszystko jest jaskrawe, to i charaktery również. Sytuacje muszą też być jednoznaczne. Ale dla dzieci człowiek zły i podły nie musi być przy tym od razu rozpustnikiem lub debilem, ludzka służalczość nie musi być wyrażona wyłącznie pełzaniem po podłodze, a urocza dziewczyna broniąc swej cnoty przed zakusami złego księcia nie musi używać jako najbardziej skutecznego środka obrony uderzenia w twarz. To wszystko to już doświadczenia ludzi dorosłych, a nie wiedza dziecka o świecie dobra i zła.

Zaspokojeniu gustów dorosłych służyć ma również cały arsenał symboli, którymi posługują się twórcy, by wyrazić umowność baśniowego świata. Umowna jest scenografia (często zresztą b. ładna) i kostium, chętnie stosowana pantomima ma również wyrażać myśli, przed których dosłownością bronią się autorzy. W efekcie jednak tych wszystkich formalnych poszukiwań ani dorośli, ani dzieci nie znajdą w tym filmie pełnego zaspokojenia potrzeb i wrażeń. Nie pierwszy raz się okazało, że znaleźć złoty środek wtedy, gdy chce się swe dzieło proponować wszystkim jest niesłychanie trudno, nawet jeśli zamierzenia artystyczne są bardzo ambitne. Niejednokrotnie dorośli wolą uroczą naiwność disneyowskich bajek, może dlatego, że dorosłym łatwiej być chwilami dziećmi aniżeli odwrotnie.

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Jak dzieci, którym opowiada się fantastyczne przygody czujemy się także na filmie pt. **„WIKINGOWIE"** w reżyserii R. Fleischera. Okazuje się, że o Wikingach tak jak o Kopciuszku można w nieskończoność. O Wikingach trochę się wiedziało, ale rok 1967 dzięki instytucji „Film Polski" można u nas ogłosić „Rokiem Wikingów". A może na zlecenie historyków w jednym tylko roku uraczono nas „Długimi łodziami Wikingów", „Niezłomnym Wikingiem" i „Wikingami"? Jak by nie było, teraz już wiemy o nich wszystko, oczywiście z bajek, które nam Amerykanie opowiedzieli.

Nawet ładne to i ciekawe bajki, zaspokajają potrzebę egzotyki zamierzchłej przeszłości, charakterów, obyczajów ludzkich oraz przygody, zaspokajają marzenie o wielkiej przygodzie.

Ta filmowa porcja „wikingologii" narzuci niewątpliwie widzenie narodu nieustraszonych, średniowiecznych żeglarzy, których przygodami karmi się dorosłych z całą rozrzutnością fantazji, która jest przywilejem baśni.

Ostatni film o Wikingach wydaje się przy tym wszystkim rzetelniejszy w stosunku do tego, co historycy o nich wiedzą. Większe zaufanie budzi na przykład w tym filmie wygląd osady Wikingów. Twórcy zapewniają nas, że film nakręcono w Norwegii, gdzie dla potrzeb filmu zrekonstruowano na podstawie wykopalisk osadę tych ludzi morza, a zamek, który oni w filmie zdobywają jest autentycznym tysiącletnim zabytkiem architektury angielskiej. Bajka pozostała bajką, ale troszkę historii w niej przemycono.

Jedno mimo wszystko wiem na pewno, że na obejrzenie jeszcze jednej bajki o Wikingach nikt mnie już nie namówi, a na „Królewnę Śnieżkę" Disneya poszłabym z synkiem nie tylko po to, by jemu sprawić przyjemność.

Jaka szkoda, że dorośli mają w kinie więcej szczęścia do bajek aniżeli dzieci.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

Shirley Temple w roli księżniczki.

Shirley Temple ze swym pierwszym mężem Johnem i dzieckiem z tego małżeństwa.

CO Z SZIRLEJKĄ?

■ „Mój drogi, gdyby ktokolwiek miał dziesiątą część tego talentu w podbijaniu serc tłumów co ta mała, zasiadłby wkrótce na tym fotelu" — powiedział Franklin D. Roosevelt do jednego ze swych domowników wskazując prezydencki fotel. „Ta mała" była ośmioletnia wówczas Shirley Temple, o której czytamy w jednym z ostatnich numerów „Cinémondé'u".

Średnie i starsze pokolenie pamięta jej ogromną popularność w latach trzydziestych. Uśmiech „Szirlejki" jej dołeczki w policzkach (wtedy bardzo modne), jej jasne loczki, jej naturalność i dziecięcy wdzięk ściągały wielotysięczne tłumy na kinowe seanse. Wesołą buzię Shirley widziało się na setkach plakatów reklamowych, na okładkach ilustrowanych czasopism, na tysiącach opakowań najrozmaitszych towarów.

Kariera filmowa Shirley Temple zaczęła się bardzo wcześnie. Kiedy miała trzy latka, rodzice (którzy mieszkali w Hollywood) zauważyli że ich najmłodsza córeczka ma świetne poczucie rytmu. Zaprowadzono ją więc na lekcje tańca. Wkrótce filmowcy zainteresowali się tym dzieckiem, które dobrze tańczyło, dobrze śpiewało i miało tyle wdzięku. Zaczęto dziewczynkę angażować do krótkometrażówek płacąc honorarium w wysokości 10 dolarów. Pewnego jednak dnia Shirley została wybrana spośród stu pięćdziesięciu rówieśniczek do dłuższego już filmu. A potem gdy ów film podobał się publiczności, Shirley zostaje w krótkim czasie prawdziwą gwiazdą ekranu. Dostaje teraz 100.000 dolarów za każdą rolę a nakręca się z nią przeciętnie trzy filmy rocznie. Otrzymuje 135 tysięcy podarków dziennie od niezliczonych wielbicieli na całym świecie. Ma ogromne dochody z reklam. W ciągu kilku lat dziecko osiąga ok. 2 miliardów dolarów. Ten ogromny majątek zabezpieczają rodzice i przekazują Shirley gdy ukończyła 21 lat. Ale w międzyczasie zmienia się wiele. Shirley dorasta. Filmy, w których występuje przestają się cieszyć powodzeniem. Posta nawią więc na jakiś czas przerwać karierę aktorską. Wróci do filmu już jako młoda kobieta. Ale film, który nakręcono z nią po upływie kilku lat nie podobał się publiczności.

W życiu osobistym Shirley zachodzą ważne zmiany. Mając lat 17 wychodzi za mąż za przystojnego sierżanta nazwiskiem John Agar. Marzy on o karierze filmowej toteż Shirley wraz z nim nakręca nowy film. Dla niego jest to pierwsza rola, dla niej trzydziesta druga. Małżeństwo Shirley nie jest trwałe. Nieporozumienia z mężem doprowadzają do rozwodu. Równocześnie Shirley staje się coraz mniej popularna wśród kinowych widzów. Wkrótce zostaje niemal zupełnie zapomniana. I tylko w jakiś czas potem widzowie telewizji amerykańskiej ujrzeli na ekranie niejaką panią Charles Black. Czytała bajeczki dla dzieci. Dawni wielbiciele Shirley poznali ją w tej postaci. Nie miała już wprawdzie jasnych loków, jej włosy ściemniały, ale zachowała dołeczki w policzkach i dawny uśmiech. Minęło znów kilka lat. Shirley ma drugiego męża i troje dzieci (jedno z małżeństwa z Johnem). Ma już prawie czterdzieści lat i znowu próbuje kariery, tym razem... politycznej. Chce zostać senatorem w Kalifornii. Czyżby pamiętała słowa prezydenta Roosevelta? Ale od tamtej pory wiele się zmieniło i zmieniła się sama Shirley. Jej ogromna popularność należy już do przeszłości.

PIEŚŃ I POEZJA

■ W Paryżu ukazała się szkatułka z czterema płytami zawierającymi pieśni z tekstami poetów od Villona do Borisa Viana. We Francji, jak wiadomo łączenie pieśni czy piosenki z poezją ma swe bardzo dawne tradycje sięgające jeszcze czasów trubadurów.

Na płytach nagrano pieśni z tekstami takich poetów jak: Villon, Baudelaire, Hugo, La Fontaine, Musset, Rimbaud, Cocteau, Desnos, Valery itd. Śpiewają m. in. Guy Béart, Brassens, Juliette Greco, Yves Montand, Boris Vian.

HOMMAGE A BOSCH

■ „Uczczenie Boscha" — pod takim tytułem otwarto w Noorbrabant Museum w holenderskim mieście 's-Hertogenbosch wystawę malarską Boscha w 450-lecie jego śmierci. O życiu malarza

Hieronim Bosch. Autoportret.

niewiele wiemy. Wiadomo tylko, że urodził się ok. r. 1450, zmarł w roku 1516, pochodził z rodziny malarzy van Aken zamieszkałej w 's-Hertogenbosch i podpisywał swe obrazy według ostatniego członu nazwy rodzinnego miasta — Bosch.

Przedziwny i niesamowity jest świat malarstwa Boscha. Jego twórczość fascynuje dzisiaj a wielu współczesnych artystów widzi w jego sztuce prekursorstwo sztuki nowoczesnej ekspresjonizmu, surrealizmu, popartu wreszcie. Niektórzy twierdzą, że był prekursorem psychoanalizy. Obecna wystawa (ostatnia wystawa Boscha w Holandii była w roku 1936) nie zgromadziła wszystkich, nawet najważniejszych dzieł. I tak np. nie ma wielkich tryptyków, które ze względu na trudności transportu nie zostały sprowadzone na wystawę z Madrytu i Lizbony. Tryptyk madrycki jest bodajże najciekawszym dziełem Boscha. Lewe skrzydło nosi tytuł „Adam i Ewa w raju" — jest to jednak raj, gdzie jakby w przeczuciu grzechu pierworodnego dziwaczne zwierzęta pożerają się wzajemnie. W ogóle świat Boscha jest niesamowity, pełen groteskowych zwierząt wśród fantasmagorycznych krajobrazów. Wizje piekielne są tematem prawego skrzydła tryptyku. Jest tu wymalowany niemal cały katalog groteskowych postaci, roślin zwierząt, scen symbolizujących winy i kary piekielne. Trzeci obraz środkowy, nie odnosi się do żadnego znanego nam pierwowzoru. Jest to „Ogród rozkoszy", gdzie w dziwacznym krajobrazie, między dziwnymi owocami i ogromnymi kolorowo upierzonymi ptakami wędrują nagie postacie mężczyzn i kobiet, łącząc się w pary lub grupy albo przebywając w szklanych kulach i retortach. Historycy sztuki próbowali odczytać symbolikę tych przedstawień. Sowa oznacza nieszczęście, poziomka rozpustę, w niesamowitych pieczarach lęgnie się Zło.

Z okazji wystawy paryskie wydawnictwo Flammarion wydało poświęcone Boschowi pierwsze dzieło z nowej serii t. „Les classiques de l'art" (Klasycy sztuki).

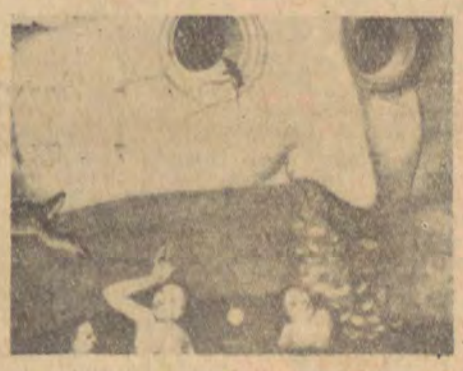

Notatki na MARGINESIE

Współczesny świat, opętany cywilizacją, jest światem nieuctwa, prostactwa i coraz węższych horyzontów. Ale przecież jeszcze nie wszystko stracone, przecież i dziś jeszcze zdarzają się indywidualności renesansowe, umysły światłe, jednostki, które zachowały smak wytworny, wrażliwość subtelną, jednym słowem — jak się to niegdyś mówiło — ducha arystokratycznego.

Ostatnio objawił nam się na łamach „Dziennika Łódzkiego", taki właśnie Piękny Duch. A poznaliśmy go dzięki odważnemu intelektualnemu strip-teasowi. Z pozycji grupowo-horyzontalnej felietonista „Dziennika", pan Ka Be oznajmił światu, że słyszał o Stobajosie i Talesie z Miletu (ho, ho!) i więcej jeszcze, że z zapałem czytuje Senekę i Plutarcha (Ho, ho, ho!). A czytelnikom Dziennika zaleca jako lekturę zamiast Safrina, Huszczy i Piechala — Horacego, Homera i Ezopa (oczywiście w oryginale).

Wystarczy takiego wyznania, by wszyscy felietonistę Ka Be uznali za swoisty fenomen, za — wybaczcie państwo metaforkę — Różę przy Kożuchu naszego czasu. I ja myślę z podziwem o biednym, gorączkującym intelektualiście (a grypa w tym roku ciężka!), który starogreckie teksty, dukane w czas choroby, przedkłada nawet nad Odgłosy. W jednym tylko nasze opinie nie są zgodne: pan Ka Be radzi czytelnikom Dziennika, by zamiast Badziaka czytali Platona. A ja — odwrotnie: doradzam lekturę Badziaka. Bo to lektura na czasie. Takie czasy, proszę państwa!

P.S. Zanotujmy jeszcze i to, że zawistnicy (a gdzież ich brak? twierdzą, że Ka Be struga starogreka, by epatować — jak to się kiedyś mówiło — burżuja. Ale ja w to nie wierzę.

* * *

W nowym (wrześniowym) numerze Dialogu, nieco na uboczu i z dala od świetnych tekstów, redakcja wydrukowała gniewny list pana Mieczysława Bibrowskiego, protestujący przeciw bezprawnym poczynaniom pana Juliusza Kydryńskiego (z tych Kydryńskich). Chodzi o to, że pan Juliusz Kydryński dokonał przekładu sztuki Picassa „Pożądanie Złapane za Ogon". A wyłącznym posiadaczem zgody Picassa na taki przekład, i wynikłych stąd praw autorskich, jest wspomniany wyżej pan M. Bibrowski.

Gdy przeczytałem ten list, naszły mnie wątpliwości. Jakiż to zagmatwany dylemat! Załóżmy np., że przekład pana Juliusza Kydryńskiego będzie lepszy. Co wtedy? Albo, że zdarzy się, iż prawa autorskie uzyska ktoś, kto potrafi sobie taką rzecz załatwić, ale ze sztuką pisarską nie ma zbyt wiele wspólnego? Załóżmy wreszcie, że na marginesie podobnej sprawy wyjdzie na jaw, iż posiadacz praw dokonał przekładu poprawnego, jego adwersarz — zgoła kiepskiego, ale za to ktoś trzeci — wręcz genialnego? Co wtedy?

Jaki jest więc wzajemny stosunek praw autorskich i interesów Literatury? (tej przez wielkie L).

* * *

Orbis zaprasza na kolejną atrakcyjną parodniową wycieczkę do Egiptu. Cena 14.600 zł, nic, tylko zapakować walizki i w drogę!

Kiedyś pisałem już na tym miejscu, że drażnią mnie te „bananowe" imprezy naszej pseudoturystycznej, zasłużonej instytucji. Myślę, że w dużej mierze właśnie te imprezy, niedostępne dla przeciętnego zjadacza chleba (z masłem lub margaryną jak masłem) prezentują za granicą model polskiego turysty nie przynoszący nam sławy. Zastrzegam się, ja broń boże nie przeciw wycieczkom! Ja przeciw doborowi uczestników. Przeciw kluczowi — jedynemu! — takiego doboru.

Oczywiście teoretycznie jest możliwe, że i ty, czytelniku założysz sobie docelową książeczkę i po latach ciułaczki zobaczysz dzięki Orbisowi Baleary lub piramidy. Ale jest też tajemnicą poliszynela, że obok wąskiej raczej grupy ludzi świetnie zarabiających, z wycieczek Orbisu do krajów zachodnich i egzotycznych, korzysta przede wszystkim polski turysta zgoła szczególnego autoramentu: ów obu płci twórca polskiego modelu dolce vita, owo indywiduum — tak dobrze każdemu znane — co to nie orze, nie sieje, ale za to jak i ile zbiera!

Taki właśnie turysta reprezentuje nazbyt często nasz kraj w dalekich stolicach, które jednak odwiedzić może — w teorii — oczywiście każdy, kto otworzy docelową książeczkę PKO itp. itd.

Stanisław Wiktorski

BEZ STRACHU

PEWNOŚĆ

Wszyscy pomrzemy — jesteśmy tak pewni śmierci jak narodzin. Ponieważ urodziliśmy się i żyjemy, a więc umrzemy — tam, gdzie jest początek, rozwój, tam jest i zakończenie; tego wymaga nie tylko biologiczna, ale logiczna i estetyczna konstrukcja naszego bytu. Życie jest twórczością, a cóż to za dzieło bez zakończenia, bez puenty?! Dla jednych świadomość śmierci jest źródłem wzmożonego przeżywania, dla innych — lęku. Są także i tacy, dla których jest źródłem wzmożonego przeżywania lęku. Ci ostatni, to ludzie rozrzutni, trwoniący w bezpłodnych przeżyciach to, co powinno być twórczą pracą. Życie bowiem, to twórczość wielowarstwowa. Kiedy budzimy się po przespanej nocy, można już z pierwszych, posennych doznań, pomruków, przeciągań, uderzeń świateł i dźwięków w chwili, gdy jesteśmy jeszcze rozkosznym, ciepłym zwierzęciem, budować układy piękne — i pierwszą piękną myśl: „Jestem człowiekiem, obudziłem się właśnie, doświadczę powietrza i wody, i ruchu, włożę ubranie, które jest kolorowe i ciepłe. To nieprawda, że oczekuje mnie spotkanie z groźnym światem, to nie prawda, że jestem winny i zostanę ukarany — bowiem ja osobiście jestem współtwórcą świata i ja jestem jednym z panów jego sprawiedliwości, ja tworzę jej normy, ja tworzę winy, i groźby, i kary, w drobnej tylko cząstce dla innych, przede wszystkim dla samego siebie". Codziennie, w miarę wrastania w jawę można sprawdzać tę formułę... Szczęście najpewniejsze zbudowane jest z elementarnych doznań, a człowiek, z niewielkim nawet zasobem szczęścia, nabiera pewności. Poeci wiedzą od dawna, że śmierć maleje w południe, w pełnym blasku słońca, rozrasta się natomiast w nocy i wtedy, kiedy otrzymasz dar bezsennej nocy możesz wykorzystać jej godziny na kontemplowanie grozy wielkiej i pięknej jak tragedia grecka, jak Szekspir. Chciwie i pilnie trzeba przeżuwać podobne godziny rzadkiej nocnej jawy. Ranek po bezsennej nocy jest przenikliwie piękny — świat staje się wypukły, a ten, który bezpośrednio z jawy nocy przechodzi w jawę dnia jest wklęsły i chłonny. Ciśnienie świata zagęszcza się i przechodzi w ból, a jawa dnia uwielokrotnia. Są tacy, którzy głoszą, że pewność urodzin i pewność śmierci sprzyja postawie umiaru i rezygnacji spokoju płynącego z pewności przegranej. Oczywiście są to zagorzali i zaślepieni przeciwnicy pojmowania życia jako twórczości. Życie jest zwycięstwem dlatego, że ma koniec — życie bez granic byłoby bezkształtne, nieestetyczne. Dzieło twórcze musi mieć koniec, jest bowiem konstrukcją estetyczną. Czy mam za Swiftem wyśmiewać bezkształtne życie jego Nieśmiertelnych — życie nietwórcze, amorficzne, życie bez godności własnego czasu, bez godności własnego osobniczego zgonu?! Niepostrzeżenie układamy się w pokolenie i odchodzimy, dając miejsce tym, którzy się rodzą i wzrastają obok nas i po nas. W wielkich, ostatecznych sprawach przyjemniej jest dawać niż brać — odchodzimy więc pięknie zostawiając po sobie czyste miejsce. Poszczególne utwory życia łączą się w wielką współludzką twórczość. Akord każdego z nas będzie trwał w symfonii — czy będzie to może zespół pełnych dźwięków, czy zamierzone i wymowne w wielkiej konstrukcji przemilczenie... Gdzie tu jest miejsce w tak ścisłej kompozycji na lęk przed śmiercią? Umierają ludzie, rodzą się ludzie — to Pewność.

BERNARD SZTAJNERT

JÓZEF POTĘGA

SPOTKANIE z Buriatami

Być we Wschodniej Syberii, być w Irkucku, a nie odwiedzić Buriatów, to tak jak być w Rzymie... Kiedy więc pewnego dnia sympatyczne studentki irkuckiego Instytutu Języków Obcych ogłosiły, iż „zorganizowano wolny dzień", postanowiliśmy we dwójkę, z młodym łódzkim botanikiem mgr Romanem Olaczykiem, pojechać na własną rękę do Ust-Ordynskoj — stolicy Autonomicznego Okręgu Buriackiego, oddalonej od Irkucka o ok. 80 km.

Przez Ust-Ordynskoj wiedzie kilka linii docierających do szeregu miejscowości i stąd długie kolejki do kas i tłok w autobusach. Wreszcie udało nam się dostać dwa miejsca... stojące. Autobus w większości wypełniali Buriaci — przedstawiciele narodowości, która od niepamiętnych czasów zamieszkiwała ziemie Wschodniej Syberii, wokół Bajkału. Nasi współtowarzysze podróży tylko tym się różnili od Rosjan, a wreszcie i od nas samych, iż mieli śniadą cerę, skośne oczy oraz mongolskie rysy twarzy. Ubrani zwyczajnie: jak my, jak mieszkańcy Irkucka, jak Europejczycy. Zwracały uwagę dziewczęta — prześliczne, o delikatnej urodzie i oczach pełnych wschodniej tajemniczości.

Pojazd szybko pokonywał kilometry asfaltowej szosy, przecinającej pagórkowaty teren. Tajga, otaczająca Irkuck, odsunęła się już i teraz wokoło, rozciągały się pola uprawne, obsiane zbożami. Szczególnie duże połacie zajmowała kukurydza, która wprawdzie w tym klimacie nie dojrzewa, ale jej zielone łodygi stanowią świetną paszę. Tu i ówdzie na rozległych łąkach, pasły się wielkie stada krów, a wokół nich uwijali się na koniach pasterze.

Co kilka kilometrów mijaliśmy wsie kołchozowe, typowe „ulicówki" zabudowane wzdłuż szosy drewnianymi domkami, stojącymi w ogródkach pełnych kwiatów. I tu przetrwała tradycyjna architektura rosyjska: domy z grubych bierwion, okna zaopatrzone w bogato rzeźbione okiennice. Zręby dachów ozdobione koronkowymi wycinankami w drewnie. Nic dziwnego, drewno najlepiej chroni człowieka przed surowymi mrozami, jakie niosą ze sobą syberyjskie zimy. Jest też najtańszym, najbardziej powszechnym materiałem budowlanym, tu gdzie do nieprzebytej tajgi jedzie się kilkanaście minut, tu gdzie zimą niedźwiedzie podchodzą pod domy...

Po wsiach widzieliśmy wiele nowych, lub właśnie budowanych domów. Przygodnego towarzysza podróży, Rosjanina, którego czerstwą jeszcze, mimo podeszłego wieku twarz, zdobiły imponujące wąsy, spytaliśmy, czy nie ma tu trudności z kupnem drewna dla prywatnych potrzeb: na opał, czy do budowy. Mówił nam, iż tutaj drewna kupić nie można, ponieważ... nikt go nie sprzedaje. Trzeba samemu jechać w tajgę, wyrąbać ile trzeba, obrobić i przywieźć. Warunek: trzeba jechać w głąb lasu. Z brzegu już ścinać nie wolno...

— Jak wam się tu żyje? — oto pytanie, które zadawałem dość często. I zaraz zaczynała się rozmowa „o życiu". Nasz towarzysz podróży bardzo sobie chwalił życie kołchozowe. „Dawniej — mówił — bywało rozmaicie. Ale teraz kołchoźnicy żyją nawet lepiej, niż ludzie w mieście. Wiele zresztą zależy od przewodniczącego: dobry przewodniczący — to dobry i bogaty kołchoz. A w takim kołchozie prawie w każdym obejściu stoi „Wołga".

Rzeczywiście, mało się w tym rejonie widuje „Zaporożców", znacznie mniej niż dla przykładu w Moskwie. Ulicami Irkucka, Bracka, szosami Wschodniej Syberii jeżdżą przede wszystkim „Wołgi". Na przyjezdnym robi w zawsze spore wrażenie, ów pozorny kontrast między drewnianymi domami, a wysoką techniką spotykaną na każdym kroku. Od samego Brześcia towarzyszył nam ten obraz: na dachach drewnianych, wiejskich domów po kilka anten telewizyjnych. Powtarzało się to także i tu, na Syberii: także i tu po drodze do Ust-Ordynskoj i w samym miasteczku.

Gdy na niewielkim placyku, w stolicy Autonomicznego Okręgu Buriackiego, wysiedliśmy z autobusu, powitała nas typowa, małomiasteczkowa senność. Było upalnie. Tu i ówdzie stały grupki ludzi, biegały dzieci, w kurzu grzebały kury. Pierwsze wrażenie było dość zachęcające: spodziewaliśmy się zastać tu, być może niezbyt jeszcze skażony folklor, tego starego i tajemniczego narodu. W wyobraźni widzieliśmy już, koczowników, myśliwych, szamanów, tajemnicze obrzędy... Ale gdy wyszliśmy z placyku na główną ulicę — nadzieje na egzotykę w takim „stężeniu" zaczęły się gwałtownie rozwiewać. Ulica była pokryta asfaltem. Przy niej stały wprawdzie w małych ogródkach drewniane domki ale przed nimi wyprostowanym szeregiem prezentowały się... latarnie, zakończone lampami o bardzo znajomym kształcie. Tak, to niewątpliwie „rtęciówki", takie same, jakie widuje się coraz częściej na ulicach naszych miast, jakie oświetlają nocne mroki w Łodzi.

Pierwszy z zagadniętych przechodniów wskazał nam siedzibę Okręgowego Komitetu KPZR. Budynek, w którym się mieści, jest także drewniany, choć piętrowy i wewnątrz przesiąknięty wspaniałym żywicznym zapachem — aromatem życzliwej gościnności. Tak też przyjął nas sekretarz do spraw propagandy. Zaraz na wstępie poinformował, iż poprzedniego dnia było tu dwu dziennikarzy z Czechosłowacji, co dokumentnie rozwiało nasze odkrywcze ambicje... Gospodarz wprowadził nas w podstawy wiedzy o Buriatach i ich aktualnej sytuacji.

Po drugiej stronie Bajkału, na południowy wschód od tego jeziora, leży miasto Ułan-Ude, stolica Autonomicznej Socjalistycznej Republiki Buriackiej. Ona to stanowi centrum gospodarcze, kulturalne i folklorystyczne tego narodu. Autonomiczny Okręg Buriacki, którego stolicą jest Ust-Ordynskoj, jest taki tylko z nazwy. Wprawdzie 40 procent 160 tysięcy jego mieszkańców stanowią Buriaci, ale poza nimi żyją tu także: Tatarzy, Estończycy, Litwini, Ukraińcy, Białorusini i Polacy. Kilkadziesiąt kilometrów za Ust-Ordynskoj, jeszcze do niedawna, był nawet polski kołchoz, znany z gospodarności. Ostatnio, w ramach akcji łączenia mniejszych kołchozów w większe organizmy gospodarcze, ów „autonomiczny" polski kołchoz przestał istnieć.

Większe skupiska narodowościowe mają tu możność kultywowania języka, historii i obyczajów. Są bowiem tu i ówdzie szkoły, w których uczy się dzieci w ich ojczystej mowie. Tylko tu można spotkać jedynych w swoim rodzaju małych poliglotów. Bowiem, gdy kilka narodowości współżyje ze sobą dłuższy czas, dzieci w domach mówią językami ojczystymi, a między sobą jeszcze: po rosyjsku, buriacku, fińsku...

Okręg specjalizuje się w uprawie zbóż i hodowli. Tu właśnie produkuje się 40 proc. ziarna, 35 proc. mięsa i mleka oraz 90 proc. wełny całego obwodu irkuckiego. Nie przypadkiem Irkuck ma w herbie rysia niosącego w zębach sobola. Pierwszy jest symbolem siły, drugi bogactwa tej ziemi.

Sympatyczny nasz rozmówca poprosił przez telefon zastępcę redaktora naczelnego miejscowej gazety — Borysa Chagdyrewicza Chażejewa. Ten młody absolwent Irkuckiego Instytutu Dziennikarskiego, jest doskonałym znawcą przeszłości i teraźniejszości swego buriackiego narodu — niegdyś myśliwych-kołchoźników, a dziś: rolników, hodowców, robotników, uczonych, wojskowych.

Gazeta, którą kieruje i którą „robi" wraz z dziesięcioma kolegami — dziennikarzami, nazywa się „Znamia Lenina" i tym się szczególnym odznacza, że jest wydawana na przemian co drugi dzień: raz w języku rosyjskim, a raz buriackim. Czcionki są te same, jeszcze bowiem przed Wielką Rewolucją Październikową Buriaci zrezygnowali z własnego, skomplikowanego alfabetu i zaczęli się posługiwać cyrylicą. Tylko dla wyrażenia niektórych, właściwych temu językowi zgłosek, wprowadzono kilka specjalnych znaków.

Wszyscy tu są po trosze poliglotami. Buriaci w domach posługują się własnym językiem, a w pracy rosyjskim. Inne narodowości mają z reguły co najmniej trzy języki. Gdy spytałem Chażejewa, wiedziony lingwistyczną ciekawością, w jakim języku myśli, jeśli musi się niemal jednocześnie posługiwać dwoma, odpowiedział: „Nie wiem. Czasem po rosyjsku, czasem po buriacku...". W restauracji mówił do ślicznej kelnerki po buriacku, a ona odpowiadała mu po rosyjsku.. Galimatias!...

Zwiedzaliśmy Ust-Ordynskoj dość dokładnie. I w miarę słuchania wyjaśnień i oglądania widomych znaków w postaci budynków, w spotkaniach z ludźmi — rozwiewały się ostatnie złudzenia, iż odkryjemy nieznany autentyczny folklor buriacki.

Pięknie prezentuje się stojący przy głównej ulicy, ozdobiony imponującą „belwederską" kolumnadą, gmach kina o 340 miejscach, w którym niedawno z wielkim powodzeniem wyświetlano „Popioły". Film jest tu rzeczywiście „sztuką najważniejszą". Każdego dnia, w tym 11-tysięcznym miasteczku odbywają się cztery seanse (dwa pierwsze dla dzieci i młodzieży) przy pełnych kompletach widzów. A są w Ust-Ordzie jeszcze dwa mniejsze kinoteatry. Premiery nowych filmów mają spóźnienie w stosunku do wojewódzkiego Irkucka nie więcej niż dwutygodniowe. Jak tu więc mówić o kulturalnej prowincji? Telewizja — za studia w Irkucku, które wkrótce otrzyma przez satelitę bezpośrednie połączenie z Moskwą, a więc i z szerokim światem — nadaje programy, które i my oglądamy z zainteresowaniem.

W miasteczku często gości jakiś zespół teatralny. Ludzie tu, w sercu złowrogiej niegdyś Syberii, żyją sprawami świata, który dzięki nowoczesnym środkom łączności i transportu jest dziś niezmiernie mały.

Później zwiedziliśmy miejscowe, jakby to u nas powiedziano, regionalne muzeum. Zgromadzono w nim szereg ciekawych eksponatów, pozwalających doskonale poznać tradycje Buriatów i bogactwo ich ziemi. Niegdyś żyły tu mamuty i nosorożce. Dziś bogactwem są sobole, a ich przepiękne futra cenione są dosłownie na wagę złota. Osiągają one na międzynarodowych aukcjach najwyższe ceny. Cennych futer dostarczają także bielki — stanowiące syberyjską odmianę wiewiórek. Z rogów młodych marali (właściwy temu regionowi gatunek jelenia) uzyskuje się wyciąg poprawiający ogólną kondycję organizmu (podobnie jak wyciąg z korzenia żeń-szeń). Można tu też spotkać czczone niegdyś przez Buriatów, białe łabędzie. W tajdze rośnie narhan (sosna), chuchan (brzoza) i cedr.

Ale prawdziwe skarby kryje ziemia. Obok złota, żelaza, gipsu, glinki ochrowej i węgla kamiennego, wydobywa się także doskonałej jakości gips. Ilości tego minerału pochodzące z okręgu buriackiego, pokrywają niemal całkowicie zapotrzebowanie całego ZSRR. Ostatnio odkryto, płytko położone zasoby węgla kamiennego, obliczane na 100 lat przy intensywnej eksploatacji, która ma się rozpocząć w przyszłej pięciolatce.

Ale niewątpliwie najcenniejszym eksponatem ust-ordynskiego muzeum jest kawałek kamienia znalezionego na zboczu tzw. Góry Manhajskiej, na którym w IX lub X wieku naszej ery, jakiś buriacki artysta narysował myśliwego pędzącego na koniu i napinającego łuk. Dzieło to, oglądane wraz z leżącymi obok eksponatami etnograficznymi w postaci drewnianych naczyń do przechowywania mleka i mięsa, kunsztownie wydłubanymi w pniach brzozowych; wraz z precyzyjnie wykonanym sprzętem myśliwskim i wojennym, szatami ze skór i wełnianej tkaniny — zmuszają do zadumy nad zaradnością, „twardością" i zdolnościami tego narodu. Wybrał on za swą ojczyznę kraj o surowym klimacie, w którym przyroda nie „pieści się" z człowiekiem. Oglądaliśmy szatę weselną panny młodej, czarną(!) z tych czasów, kiedy o małżeństwie decydowali rodzice i gdy nie zwracano uwagi na uczucia młodych, a zaślubiny były uroczystością nader smutną. Widzieliśmy wreszcie, także sporządzony z drewna, zmyślny przyrząd służący niegdyś do destylowania archi, czy jak dziś mówią: tarasunu — wódki pędzonej z kwaszonego mleka.

Jak daleko odszedł od tamtych czasów ten ponad 300-tysięczny naród? Pytaliśmy, czy ktoś mieszka jeszcze w drewnianych, ośmiościennych jurtach, z których jedną ustawiono przy muzeum, urządzając jej wnętrze zgodnie z tradycją. Nasi przewodnicy powiedzieli: obyczaj zamiera. Wszędzie telewizory, samochody, motocykle. Wszędzie schludne domki. Kto by chciał mieszkać w kurnej jurcie?! Każda buriacka rodzina ma przeciętnie po 2 — 3 dzieci. One gdy dorosną zapomną już zupełnie obyczaju. Tak jak nie pamiętają go już ich rodzice i rodzice tych rodziców. Cywilizacja jest zbyt ponętna, by oglądać się w przeszłość.

W nowym pawilonie mieszczącym wszelkie, kupiliśmy książki o dziejach i folklorze Buriatów. Już nie rodzice uczą tych spraw swych dzieci, już musi ich w tym wyręczać nauczyciel. Nikt nie żałuje, że tak jest. Postęp, dążenie by żyć coraz lepiej przesłania sentymenty związane z przemijaniem starego. Mówiono nam, a historia ta jest symbolem tego, co tu zaszło w ciągu ostatnich 50 lat, o pewnym starym Buriacie, który przed Rewolucją wyruszył z rodzinnej wioski w tajgę, by szukać szczęścia. Osiadł w miejscu gdzie dziś Ust-Orda. Doczekał się dziewięciorga dzieci. Każde z nich ukończyło wyższe studia, a czterej synowie zdobyli tytuły kandydata nauk!

Zadumaliśmy się przed nowoczesnym budynkiem szkoły, nazwanej imieniem pułkownika Władimira Buzinajewicza Borsojewa — dowódcy pułku artylerii przeciwpancernej, narodowego bohatera Buriatów, Bohatera ZSRR, Kawalera Orderu Lenina i Orderu Czerwonej Gwiazdy, a także wysokiego amerykańskiego odznaczenia bojowego, które nadał mu prezydent Roosevelt. Borsojew urodził się w Ust-Ordynskoj, a poległ podczas ostatniej wojny pod... Raciborzem. Bardzo wielu Buriatów zginęło na zachodnim froncie radzieckim, walcząc także o wolność Polski. Niemal w każdej rodzinie opłakiwano poległych.

Naszą wizytę zakończyliśmy w nowej restauracji nazwanej „Uriał". „Stołiczną" wychyliliśmy toasty za przyjaźń, za niezapomniane spotkanie, za dalsze spotkania, za pomyślność ich i naszą. Zakąsiliśmy sałamatem — bardzo smaczną narodową potrawą, przyrządzoną z pszennej mąki, śmietany i roztopionego masła. Za dwa ruble taksówką wróciliśmy do Irkucka, serdecznie żegnani przez buriackich przyjaciół, którzy choć jeszcze wczoraj nieznani i dalecy, stali się nam serdecznie bliscy.

Lewym okiem

PROSIMY O KANDYDATURY!

Każdy z nas, czy bardzo chce, czy też bardzo by nie chciał, wchodzi w skład najróżniejszych społeczności, a jego najbardziej prywatny los zależy w coraz większym stopniu od tego, jak się każda z owych społeczności kształtuje, jak się rozwija, do czego zmierza.

Jestem członkiem załogi mojego zakładu pracy, posiadającej swoją radę zakładową. Jestem mieszkańcem bloku i jako taki podporządkowuję się komitetowi blokowemu. Jestem ojcem uczennicy i chodzę na zebrania komitetu rodzicielskiego w szkole. Należę do związku zawodowego, do związku filatelistów, do klubu sportowego, do takiego czy innego Stowarzyszenia, do PTTK, PCK, LOK i TPPR. Z własnej i nieprzymuszonej woli zostałem członkiem Koła Byłych Wychowanków i paru innych organizacji o nazwach, trudnych do zapamiętania.

Ponieważ tych członkowskich tytułów jest nieco za dużo jak na jedno życie jednego skromnego obywatela, przeważnie ograniczają się one do tytułów „pro forma", pozostawiając mi rolę absolutnie bierną. Płacę składki, jeśli mi przypomną, i nie chodzę na zebrania. Nie wiem, ile gdzie zalegam, i na dobrą sprawę można ode mnie zainkasować składkę pięć razy za ten sam miesiąc, zanim się zorientuję, że chyba podrożało. Z każdej organizacji mam dwie lub trzy legitymacje i nigdy nie wiem, która z nich jest aktualna. Jeśli zdarzy mi się zwrócić do którejś z organizacji z wnioskiem o świadczenie, które statutowo mi przysługuje, przeważnie okazuje się, że żadna legitymacja nie jest aktualna, bo w międzyczasie znów była jakaś wymiana. To oczywiście moja wina, należy odwiedzać lokale organizacji i pilnie studiować karteczki, przybite pineską na tablicy ogłoszeń, w najciemniejszym kącie lokalu.

Niekiedy jednak zebranie bywa ważne, dotyka spraw żywo mnie obchodzących, albo też po prostu wypada się wreszcie pokazać. Rezygnuję więc z domowego obiadu, machnąm ręką na kino, telewizję czy dwie godziny zwyczajnego odpoczynku, idę i biorę udział.

Z tych dwóch godzin pierwsza poświęcona jest na czekanie, pełne nadziei, że ktoś jeszcze przyjdzie. Punktualny przewodniczący i kilka osób z zarządu zabawiają mnie jak mogą, żebym jeszcze chwilę zaczekał, że zaraz zaczniemy. Jednocześnie dzwonią, chodzą, zwołują, proszą. Mija pierwszy termin, potem drugi, w piątym zjawiają się panie, kwadrans później jeszcze dwóch panów. Przystępujemy do sprawozdania i do dyskusji, która niekiedy rozżagwia się prawdziwym huraganem pasji, pełnym zaangażowaniem rzetelnym zainteresowaniem uczestników.

Niestety, po dyskusji następuje przeważnie przydzielanie różnych zadań i funkcji. Nieobecni śpią spokojnie, nikt im niczego nie przydzieli. Kandydatów zgłasza się spośród obecnych. — Prosimy o kandydatury! — mówi przewodniczący i następuje chwila, kiedy człowiek chciałby zapaść się pod ziemię. W połowie ze strachu, że ktoś go zgłosi i znów przybędzie zmartwień, najmniejszą satysfakcją nie zrównoważonych, a w połowie ze wstydu, że to milczenie trwa tak długo, że ludzie patrzą po sobie i błagają się wzajemnie oczami o pominięcie, że wciąż jeszcze nie ma chętnych i wciąż trwa nieznośna pauza, aż biedny przewodniczący ociera spocone czoło. — To może ktoś z państwa sam zgłosi gotowość? — próbuje wreszcie. Jeszcze jedna cisza, jeszcze gorsza od tamtej. Wreszcie ktoś nie wytrzymuje nerwowo, podnosi rękę i wszyscy oddychamy z ulgą. Jest!

Oczywiście, nie ma mowy o tym, żeby drgnęła w nas struna wdzięczności pod adresem tamtego. Frajer! — myślimy sobie. — Wciąż mało mu honorów, wszędzie się pcha, wszędzie go pełno. Madrala. Działacz dla ubogich. Koniecznie musi błyszczeć, jakby miał czym!

Więc podnosi się jeszcze ktoś i ostrzega tamtego, że podjęte przez niego zadanie będzie trudne, i że nie zgodzimy się na jego byle jakie załatwienie. Że opinia publiczna osądzi. Że są odpowiednie paragrafy. Że żądamy w swoim czasie szczegółowego sprawozdania i w razie czego poprosimy o rezygnację, tu, publicznie, na zebraniu.

Po czym rozchodzimy się do domów w przekonaniu, że nasza część udziału w życiu społecznym została na parę tygodni odfajkowana.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny) Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Ewa Siemińska, Włodzimierz Stokowski (z-ca redaktora naczelnego 1 sekretarz redakcji), Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź Żwirki 17. Zam 2819. X. 1967 r. O-10